



# JEDNO ROZEC

*Cieślak*

*Balbiery*

*Brejnak*

*Dariuszka*

*Debska Gosławski*

*Grabarz Hamera*

*Heinemann*

*Kaliński Janoszek*

*Malinowski Korytko*

*Szafrańska Sukiennik*

*Sokolnicka*

*Szmaja Thacz*

*Windsong Wamzech*

*Wiech Zaremba*

ISSN 2392-3806

nr 4, 2016

Redaktorzy naczelni / Content Management: Marta Marciniak, Michał Stefanik

Konsultant ds. układu treści: Joanna Kowalska

Autorzy: Zofia Balbierz, Sebastian Brejnak, Szymon Cieślak, Dariuszka,  
Joanna Maria Dębska, Mariusz Goślawski, Jadwiga Grabarz, Bogna Hamera,  
Roma Heinemann, Ula Janoszek, Mateusz Kaliński, Joanna Korytko, Mateusz Malinowski,  
Michał Mizera, Joanna Roś, Alicja Sukiennik, Anna Szafrńska, Łukasz Szmaja, Malwina Tkacz,  
Wamzeh, Jakub Wiech, Windiong, Milena Zaremba,

Fotograf redakcji: Joanna Kowalska

Korekta: Agata Nowak, Anna Olmińska, Ada Chudzik

Skład i łamanie: Joanna Prąjzandanc

Logo: Dariuszka – Daria Brukwicka

Okładka: John Collier, „Lady Godiva”, 1897

Opracowanie okładki: Joanna Prąjzandanc

Ilustracje: Dariuszka

Wydawca: Marta Marciniak, Michał Stefanik

Miejsce wydania: Warszawa

Strona internetowa: [www.jednorozec.uw.edu.pl](http://www.jednorozec.uw.edu.pl)

Kontakt: [jednorozec.redakcja@gmail.com](mailto:jednorozec.redakcja@gmail.com)

fb: [www.facebook.com/czasopismojednorozec](https://www.facebook.com/czasopismojednorozec)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Współpracujemy z:



## Drodzy Artyści i Czytelnicy!

Z przyjemnością oddajemy w Wasze ręce czwarty numer *Jednorozca*. Macie w nim okazję zapoznać się z nowymi dziełami znanych już Wam artystów, ale w nieeksplorowanych przez nich dotychczas dziedzinach, a także z pracami debiutantów: odszukacie więc na kolejnych stronach między innymi monodram, plakaty w stylu pop-art, opowiadanie oferujące interesujące rozwiązanie narracyjne („7 wspaniałych”), a także, jak w każdym *Jednorozcu*: poezję, rysunki, prozę oraz fotografie.

Nieustannie zwiększamy nakład czasopisma, gdyż przy każdym wydaniu *Jednorozca* zostawały rozchwytywane w mgnieniu oka, co miało miejsce również przy wydaniu ostatniego, trzeciego numeru, w rekordowym nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy. Dziękujemy Wam bardzo za okazane zainteresowanie, nieustannie nas ono uskrzydla i motywuje do pracy nad czasopismem. Dlatego dziś prezentujemy Wam *Jednorozca* w nowej odsłonie.

Marta  
Marciniak

Michał  
Stefanik

**P.S.** W związku z wciąż rosnącym zainteresowaniem *Jednorozcem* chcielibyśmy serdecznie zaprosić do kontaktu przedstawicieli organizacji studenckich, instytucji kulturalnych i artystycznych oraz wszelkie inne osoby które są zainteresowane dystrybuowaniem *Jednorozca* w swojej przestrzeni. – z chęcią wychodzimy z naszymi działaniami poza Uniwersytet.

# JEDNO ROZEC



## Refleksje

**Szymon Cieřik 8**  
*Nieublaganie przemijajacy*

**Adrianna Sokolnicka 12**  
*Ponad*

**Windsong 16**  
*Arkadia*



## Natchnienie

**Zořa Balbierz 21**  
*Płóńmy  
Krzeřa  
Mors certa ora incerta  
Paryski pitek*

**Sebastian Brejnak 23**  
*Rytm  
Prawdę i tylko prawdę  
Modlcy się  
Heros  
Wersja A  
Pan w marynarce*

**Joanna Maria Dębska 30**  
*Le temps  
Po ludzku  
X  
Przestrzeń pryska*

**Jadwiga Grabarz 33**  
*Krótki przegląd żywiołóv  
Żjawiska świetlne  
Wchtanianie*

**Bogna Hamera 36**  
*Pał  
Burza  
Oczy  
Bęąc  
Wiosenne wspomnienia*

**Małusz Kaliński 69**  
*Autobus  
Lipa*

**Wamzeħ 71**  
*Inaczej  
Zerwanie  
Kwiat pokrzywy  
Proces produkcji piernikóv*

**Małusz Malinowski 77**  
*Hekatomba  
Pożegnanie  
Dla dorosłych*

**Alicja Sukiennik 79**  
*Portret pokolenia  
Siłna i niezaleźna  
Dalentynki  
Dla B. Jasięńskiego  
Los Poety*

**Łukasz Szmaja 82**  
*Śmiech jest zawsze na końcu  
Imperium*

**Malwina Tkacz 85**  
*Na szczęście  
\*\*\**

**Jakub Wiech 86**  
*Boże jakie to szczęście  
Mikołaj Kopernik  
Błędne koło*

**Milena Zaremba 89**  
*Smutna Warszawa  
Nieśmiertelna  
Zatrzymaj mnie*



## Przeniesienie

**Joanna Roś 59**

*Gość*



## Myśli

**Joanna Korytko 39**

*Niewypani  
7 wspaniałych*

**Roma Heineman 54**

*The story of anima*

**Anna Szafrńska 52**

*Tramwaj*

**ZSSUW 108**

*Wieści od ZSSUW*



## Kreska

**Dariuszka 91**

*Puszczone myśli*

**Mariusz Gosławski 95**

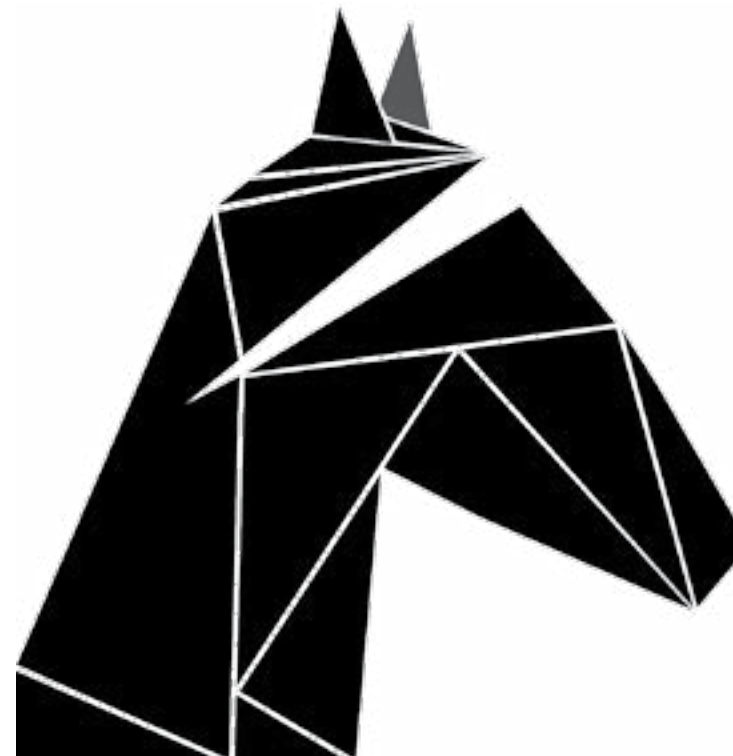
*Kwitnąca Wiśnia*

**Ula Janoszuk 100**

*Pop*

**Piotr Olszak 104**

*Słan umysłu*



Szymon Cieślak

# Nieubłaganie przemijający

8



nocny mar

Szymon Cieślak

Nieubłaganie przemijający

9



dymiane żywopłoty utartej lęsknoły

Nieubłaganie przemijający

Szymon Cieslak



czas nieubłaganie przemijający

Szymon Cieslak

Nieubłaganie przemijający



jak cień podąża  
za sobą własnym  
sumieniem

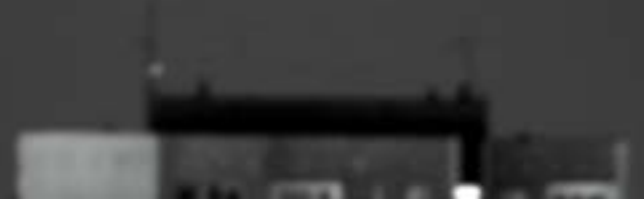
Adrianna Sokolnicka

# Ponad



Adrianna Sokolnicka

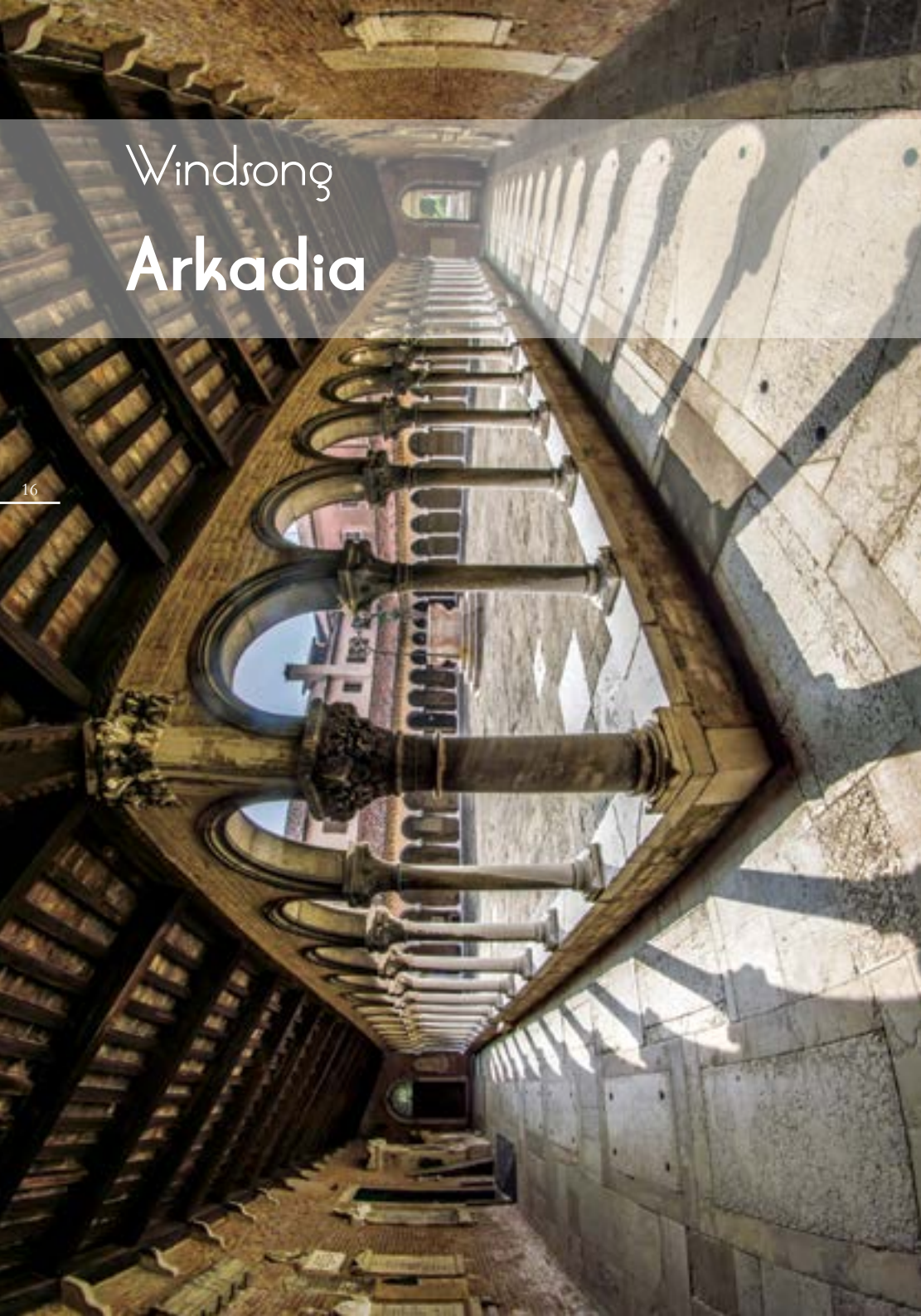
Ponad







Windsong  
Arkadia





Arkadia

Windrong



Windrong

Arkadia

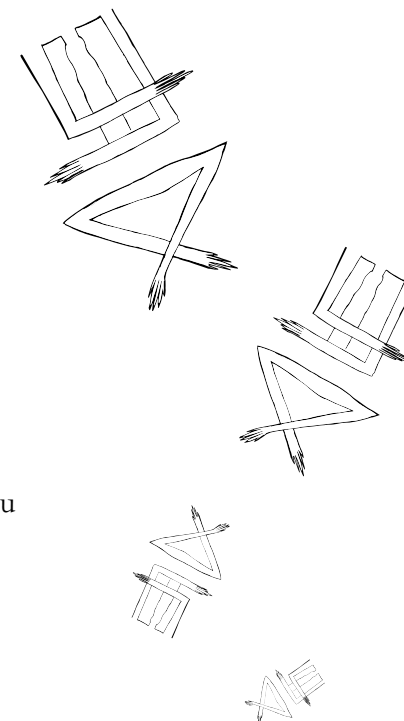
Zofia Balbierz

# Płonmy

A może by tak  
 Umrzeć na scenie  
 Płonąc z pasji  
 A nie umierać codziennie  
 W nieprzespaną noc  
 Spalając się  
 Bez powodu.

# Krzeseła

Nie ma na to zgody  
 Krzyczę w zimny deszcz  
 Który przykrywa mój głos.  
 Śmieją się ze mnie  
 Ponure chmury  
 Puste krzesła  
 Korytarze.  
 Cały świat się ze mnie śmieje  
 Tylko mnie jest nie do śmiechu  
 Bo muszę przywyknąć  
 Do pustych krzeseł.



## Mors certa ora incerta

Jej długie palce  
Napawają mnie lekkiem.  
Zadbane, od lat  
Sięgają kiedy chcą  
Po wszystko  
Każdego.  
A jednak ich codzienne  
Muśnięcie moich skroni  
Pomaga się oswoić.  
Bo przecież w ciemności  
Nie pomoże mi  
Zamknięcie powiek.

## Paryski Piątek

Patrzę im w oczy  
Przez rozlane na ekranie  
Litery słowa zdania.  
Przecież czuję  
Ich ciężar na moich barkach.  
Liczę każdy przerwany  
Na zawsze głos.  
Wzrok chce uciekać  
Ale tego chcą i oni  
Dlatego zostaje  
By mój głos  
Mówił chórem nie-  
skończonych  
Nigdy zdań.

Sebastian Brejnak

## Rytm

Wpatruje się w słońce odbite od czyjejs białej koszuli  
namiętnie jak bateria słoneczna (ale nie z niskich jak ona pobudek)  
Chce się oślepić i zacząć widzieć jaśniej  
(zawsze lubił paradoks jak dogonić żółwia)  
Ostrość jego wzroku już dawno podupadła na nazwie  
(wciąż nęci go język swój własny mniej niż inne)  
Kiedy ma mroczki przed oczami pragnie wejść w mrok  
Udaje że śpi tak naprawdę śpi na dobre  
(na złe sny bierze od lat kodeinę zawsze pomaga zawsze ma  
koszmary)

Nad ranem (w środku nocy) szuka swojej białej laski  
Szuka go pies  
idą gapić się w słońce

# Prawdę i tylko prawdę

Kloszard  
to brzmi dumnie  
jak concierge albo découpage  
jak człowiek przykuty do klasztornych murów  
z wątroba na sercu czy odwrotnie  
zbawiciel ludzkości źle opłacany  
pies obrońca domu bez stałej wypłaty

Rajzer  
to prawie jak  
nazwa solidnej firmy nowego tosterka albo tytuł książęcy  
idealista sprawiedliwy wśród narodów niesprawiedliwych  
Hlasko albo Beckett czytany przez damy przy kości  
Z kością w gardle

Gdy postawiono mu zarzut szczerości  
nie przyznał się do winy  
Bo to wino (co je pędził)  
nie wyszło

# Modlący się

Wagon  
w którym się znalazł  
znalazł się poza peronem

Między jedną a drugą przepaścią  
szukał dróg dojścia do tej najprzepastniejszej  
(Szir Haszirim Żydów wpatrzonych przez dziurę w rozmyte szyny)

Nie zdziwił się  
gdy  
dworcowy kaleka  
rozdawał wyżebrane kanapki grubym gołębiom  
wykrzykując przy tym wielkie słowa  
belkot  
(wiedział że są wielkie na trzeźwo)

Jedyne co mu zostało  
to linoryt i drzeworyt  
kamień i kawałek drewna  
oznakowane jak należy  
To moi bogowie myślał niekiedy  
wtedy czuł się jak  
wolnomyśliciel  
(wymyślał to wolno)

A wyjścia jak nie było tak nie ma  
nie ma co mydlić oczu  
od tego są ręce  
które tych drzwi nigdy otworzyć nie umiały  
A ironia (zawsze demon) jak była tak jest  
teraz i  
zawsze  
jak kropka po nawiasie

# Heros

Przez całe życie  
wiązał słowem sznurowadła  
głodził karmił klócił godził  
pieścił podbrzusza odwieszał na hak  
nabijał na butelki napychał kiszki

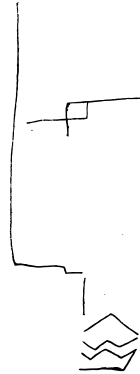
Niektórym motyłom wrywał skrzydła  
twierdząc że ratuje im życie  
(bo co to za żywot jednodniowy bez  
otworów z gębą u wylotu)  
Poszarpane ćmy przypinał do firanki  
Wiatr je ożywia i wiersz

Ironia to nie to powtarzał każdy potrafi wykpić  
mnie będzie chodziło o etos  
więc opisywał co następuje  
kwaśne deszcze w rynsztokach igły po morfinie  
starczy szloch po cukierkach zżeranych przez tłuste dzieci  
songi sprzątaczek sprzątaczkę same w sobie

Dorobił się rękopisów wdów i bękartów  
Pytany o zawód poprawiał krawat  
Pytany o imię wyciągał zasuszoną muchę  
(w czym miało być coś z poezji)

Gdy układano go w trumnie  
nie zapomniano o miękkim podglówku

Po schowaniu zaś gdzie trzeba sterty ciała i makulatury  
zabrzmiął w końcu jego  
poemat  
notarialny  
prozą



# Wersja A

Rok w rok  
kontrolujesz badasz nadzorujesz  
wypełniasz mnożysz  
Wyniki zadowolające wpisujesz w ramki  
nienaganne krzyżowo – żebrowe  
Dzieci in potentia odpukać zdrowe

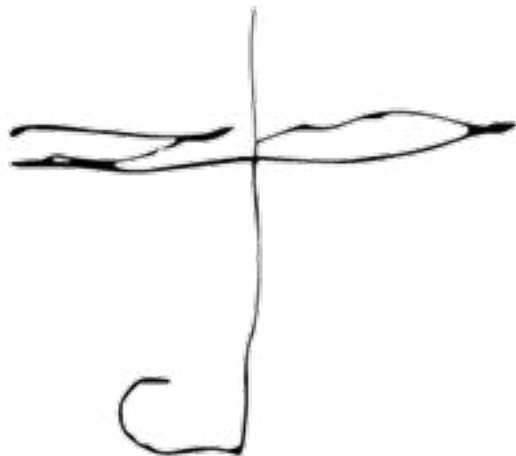
Kiedy trzeba  
burzysz się po cichu  
po kryjomu stawiasz opór  
po trochu cegielka po cegielce  
na cele charytatywne  
Jerozolima ma swoją bramę swój mur swój bricolage

Twój bunt  
rośnie w ustach  
jak stęchły ziemniak  
To nic myślisz  
zło jest złem  
dobro dobrem  
logika wybawia od nadmiernych wzruszeń  
naciśnienia

Lecz gdy ten kogo brałeś za ofiarę  
ucina ci głowę  
rwiesz włosy z głowy  
jak uratować resztki logosu

Potem stajesz przed katolickim bogiem  
(który za powyższe wynagradza za niższe karze)  
Rachunek jest prosty  
trzeba odsiedzieć swoje  
za lata życia na własną rękę  
wbrew zaleceniom lekarza

Mój ty  
 ateisto ochrzczony  
 czcicielu prefiksów  
 konstruktorze na glinianych nogach  
 który w obawie przed zakneblowaniem ust  
 nie mówi wcale  
 powiedz wreszcie  
 do kogo milczysz



## Pan w marynarce

Zobaczył usłyszał  
 poczuł zapamiętał  
 zapomniał zamknął na cztery  
 mimochodem zahaczył  
 okiem paznokciem tyłkiem  
 zamknął na cztery  
 przed wyjściem spojrzal  
 wrócił policzył się od początku  
 znów zobaczył  
 wyszedł nie sam nie z psem  
 wcale nie poszedł do muzeum  
 bawił się tanio za trzy grosze  
 czytał ale nie to co trzeba  
 minął minęło mu  
 co zamknął to zamknął  
 drzwi zawsze uchylone bo za nimi dama  
 może czytać list i ślepnąć  
 niepodglądana

Dawał sobie drugą szansę  
 tym razem doczytam nie przeklnę na cztery kartki przed końcem  
 świata przedstawiającego się od głowy strony  
 i na trzy dni przed śmiercią tłustej bezdomnej  
 zacznę się głodzić (miłość i pokój)

A trzy i cztery to żaden symbol  
 co mu się czasem podoba  
 czasem nie

I nic by go to powyższe nie obchodziło  
 gdyby nie miał tego z kim  
 omówić  
 poniżej

Joanna Maria Dębska

## Le temps

Ona;  
boginii Wenus pędzlem malowana  
przedstawia mi się,  
przygląda silnie.  
Niewiele pamiętam,  
ot, oczy zatęsknione,  
no i,  
że usta miała czerwone.  
Teraz przede mną na ślubnym kobiercu  
wzruszona mówi:  
tak, aż do śmierci.  
A ja wciąż ją widzę,  
jej ręce złożone  
i te jej usta,  
usta czerwone.  
I znów ją widzę,  
leży nieruchomo.  
Stublyski w jej oczach są już zamglone.  
Patrzę na jej usta,  
brak w nich czerwieni,  
już tylko sine  
i śmierć się w nich mieni.

## Po ludzku

Ratujcie nas  
fantasmagorie  
od powietrza  
głodu  
ognia  
wojny  
naglej  
a niespodziewanej śmierci  
a przede wszystkim  
od nas samych.

X

Wolność ?  
Och,  
ja ją tylko  
eksportuję;  
Smutnym sercom  
i niewyspanym głowom,  
chmurnym oczom  
i poległym  
za tę wolność.  
Całą ją oddaje,  
bez mrugnięcia okiem.  
Bo na tym właśnie  
polega wolność.



# Przestrzeń pryska

Nie zatrzymuj mnie  
pozwól mi uciec  
tam  
są moje  
inne światy  
zakłete galaktyki  
układy  
więcej słoneczne  
drogi bardziej mleczne  
Nie zatrzymuj mnie  
ja mknę już  
w przestworzach  
zawieram się w wicherze  
północnej gwiazdzie  
cichej  
mglistej drodze

Jadwiga Grabarz

# Krótki przegląd żywiółów

napisać o drzewach coś takiego  
czego jeszcze nie wiedzą same o sobie  
że może mnie przeżyją  
i nawet nie odczują brzemienia czasu  
który nas kiedyś zagryzie  
z naszych gardel popłynie żywica  
płucom zabraknie powietrza

napisać o niebie coś takiego  
czego jeszcze nie wie samo o sobie  
że może język umarłych opisuje lepiej jego koloryt  
i nawet nobliści byli w błędzie

napisać o ziemi coś takiego  
czego jeszcze nie wie sama o sobie  
że może trawiąc nas do końca  
wychodzi tylko nam naprzeciw

nic więcej nie umiem powiedzieć  
o unicestwieniu  
tym szczególnym rodzaju czułości

# Zjawiska świetlne

w zimowym słońcu jest jakaś nadzieja  
widzę cienie  
przebiegające po śniegu niczym zając  
zostają za nimi dowody istnienia  
drobne ślady z pobytu

pod drzewami  
śpi zakopane aż po czubek nosa życie  
cienie zajęcy  
mkną po nich w swoich zaświatach  
w różnych historiach  
przemijających jak zwykle w okamgnieniu  
że nie zdąży się zarejestrować co w nich było na końcu  
śmiej czy pośmiewisko

masywny owczarek podhalański  
wygląda na śniegu niczym niedźwiedź  
brakuje tylko zorzy  
ale w końcu to dzień  
a ja nie jestem teraz za kręgiem polarnym  
lecz we wnętrzu własnego serca

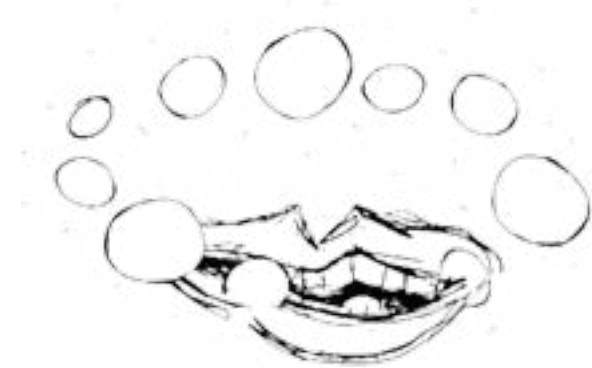
# Wchłanianie

Saturn pożera swoje dzieci dokładnie je gryząc,  
otwiera szeroko usta, żeby zmieścić barki synów,  
biodra córek. Śmierć nie sprzeciwia się jego rękom.

Boję się wyrazu twarzy z dzieła Goyi –  
tytan silący się na kęsy mięsa, które genetycznie  
podobne jest do niego, powinien wzbudzać odrazę.

Kim byłby dla swych dzieci, gdyby ich nie pożarł?  
Jak wyglądałby obraz bez tych oczu,  
krzyczących, że nic nie jest sprawiedliwe?

Jestem córką Saturna. Krażenie po orbicie wciąż mnie zjada.  
Gdyby tak być kometą, Stokłosa –  
można byłoby spadać, aż do skutku.



Bogna Hamera

## Pał

Palenie zabija.

Miłość zabija.  
Samotność zabija.

Możliwość uskrzydla  
Bliskość raduje  
Wolność rozwija

## Burza

uwielbiam trzask łamanych chmur  
Gęstość materii nieuchwytniej  
Szerokość fali dźwięku skał  
zderzanych iskrą w Olimpie  
Dreszcz cienkiej kropli  
Surowość jej ścieżki  
z płaskiem oddzielającej się od reszty  
i gdy cichnie strach, oddala się machina  
tęskny ryk zza zasłon dżdży  
jeszcze się odzywa

Bogna Hamera

## Oczy

W ciepłym domu tylko kot czeka na mnie.  
Zakurzone ściany walą mi się na głowę.  
Cegła przy cegle, czerwone, lecz przydymione,  
stelażu błysk już nie rani oczu.

Puszczam wodę, niech para mnie pochłonie,  
obrazów klisza przewija się w oczach,  
woda paruje. Nie, to głowa paruje?  
Strumień obłoki piany rozpruje.

Rzęsiście, w rytm wodospadu, chce mi się płakać,  
lecz oczy suche, białka pękają i kruszeją.  
Ręce pomarszczone na wodzie mdleją.  
Ja wciąż zmartwiona. Już jestem stara?

A kot siedzi, czuje wszystko, co odgrywam,  
rola roli nierówna, lecz patrzenia nie przerywa,  
dzisiaj jest dzisiaj, jutro będzie inne.  
Dziś jestem smutna, może jutro ostygnę.

Tylko te oczy...



## Będąc

Raniła naprzemiennosc chłodu i gorąca,  
wino cierpkie raz, czasem znów słodzące.  
Człowieczy zapach skór w ranku wschodzącym  
– miłosnych splotów źródło, przyczyna dziewczyny mdlejącej.  
Tęsknota do rozmów i śpiewu na łące,  
jego stóp wśród szuwarów wokół niej brodzących.  
Nienawiść wobec uczuć istnieć niemogących  
i do szybszego niż początek końca.

## Wiosenne wspomnienia

Z gałęzi zwisających pajęczyn ściągów  
nitki pelzły wśród lez porannego deszczu  
słońca błyski pierwszy raz dotknęły ziemi  
trawa ugnieciona w kształt miłości świeży

Ciało przy ciele skąpo mowie oddane  
parowały myśli dwojga tak zmacone  
ciepło ust, zimno włosów zawilgotniałych  
miękkie policzki jej, wody trzeźwiący lyk

Minął żar i wnet ulga nadeszła zmroku  
z łoża szyszek znamiona w ciele posągu  
trwali sycąc się obecności nektarem  
nie upływał czas, świat nie liczył się wcale.

Joanna Korytko

## Niewyspani

Nie wiem, kim jestem. W obcych ramionach, obcych oddechach tak... obco. Samotnie. I cicho. Własne serce tak ciche, niczyje. Bezpańskie oczy, wpatrzone bezmyślnie w kąty, w których przesiadywałeś, drzwi, którymi wyszedłeś. Jedno słowo, jak klucz, jak tajemnica, jak list, na przeprosiny i na pożegnanie. Parę zdań, parę słów, tak nieskładnych, tak pustych, tak obcych, tak niemówiących już nic. Jest tak pusto. Tak cicho.

Tak nieswojo. Dziwnie nie słyszeć głosu, z którym przyszło ci się budzić co rano, a teraz... W pustym pokoju i łóżku, z pustego mieszkania na zatłoczoną ulicę, wciąż tak samotnie, tak... pusto. Wśród krzyku poranka, południa, wieczora, bezimiennych ludzi mijanych po drodze, z jedną tylko myślą, i gdy coraz więcej twarzy przypomina mi ciebie. Szukam twoich oczu i twojego uśmiechu. Łapię się na tym, jak odwracam głowę, bo wydaje mi się, że słysze twój głos. Tak dziwnie...

Dziwne, samotne miasto. Szare okna wychodzące na szare ulice, pełne szarych twarzy. Zamykam oczy. Tylko w tej ciemności odpoczywam. Tylko ta ciemność daje ukojenie. Tylko w niej mogę przywołać słońce, mogę wyczarować jasność, i ciepło, i twoją dłoń. Twoje usta. Twój zapach, uchowany gdzieś w zakamarkach pościeli. Szukam cię tam. Zawsze przed snem.

Nocą... nocą jest najgorzej. W ciemności, która nigdy nie była tak wroga. Brakuje w niej ciepła, brakuje słodczy, brakuje twojego oddechu. Jakiejś cząstki nocy. Trudno zasypiać w zbyt szerokim łóżku. Trudno pozostać samemu z pościelą. Dziwnie jest słyszeć tylko jedno serce. Nieswojo tak, niepokojąco.

Każdy krok urósł do rangi wyczynu. Śmiesznie tak, nie słyszeć twojego echa, nie widzieć twego cienia gdzieś za moim. Pamiętam, jak udawałeś, że biorą się za ręce. Wspólne spacerki, kolacje, śniadania. Obco tak, nie czuć zapachu przypalonych tostów każdego ranka. Nie wieszać swojego płaszcza obok twojej kurtki. Nie przebierać się w twoje za szerokie koszulki, nie gubić w twoich kapciach, twoich... pocałunkach, ramionach i oczach.

Trudno wychodzić z domu, nie słysząc od nikogo choćby słowa na pożegnanie. Przekręcać klucz w zamku, wiedząc, że po drugiej stronie nie czeka nikt, nawet pies, bo jego też ze sobą zabrałaś. Nie mówiąc „dobranoc” nikomu, nawet jemu.

Psu też cię brakuje. Tak przykro, bez zabaw, gonitw, spacerów. Tak ciężko tłumaczyć mu, że to już po wszystkim. Że nie ma na co liczyć. Że to już skończone. Tak trudno tłumaczyć to sobie. Szczególnie... szczególnie wieczorem.

Widziałem cię wczoraj. Może nocą, a może wieczorem. Miałaś rozwiane włosy i płaszcz szczelnie zapięty na wszystkie guziki. Na twojej twarzy nie dostrzegłem ani makijażu, ani ulgi, na którą tak czekałaś, może wciąż czekasz. Widziałem twoje oczy, smutne, zamysłone, jakby pograżone w półśnie, jakbyś od dawna nie spała. Pochłonięte czymś innym, bo już na pewno nie mną. I starałem się wmówić sobie, że jesteś szczęśliwa, bo to tak przecież widziałeś swoje szczęście. Beze mnie.

Widziałam cię wtedy, czułam na sobie twój wzrok, jego się nie dało nie poczuć. Nie, kiedy tak się na niego czekało, kiedy tak się go pamięta. Staralam się wtedy uśmiechnąć i tylko kątem oka, ukradkiem, zapamiętać cię jak najdokładniej. Ubrany niechlujnie, jakbyś w roztargnieniu jadł, i żył, i prawie w ogóle nie spał. Podobaleś mi się taki. Taki zmęczony i taki łagodny. Taki... wyciszony, zamknięty, zamysłony. Nie mój.

Nie moja.

Myślę, nie lubię tych myśli, odganiem je.

Nie chcę ich. Odcinam się, odwracam twarz.

Przekręcam klucz, przekraczam próg, zdejmuję płaszcz.

Wchodzę do kuchni, napelnięm czajnik, włączam gaz.

Odpalam radio, piję kawę, głaszczę psa.

Wyrzucam piwo, gaszę światło, idę spać.

Zupełnie sama.

Sam.

Krok po kroku, uczę się codzienności na nowo.

## 7 wspaniałych

### KAROLINA

Walizka była już prawie pełna. Jeszcze niebieski top, ta sukienka z sylwestra, ten luźniejszy sweter, nie, nie, w sweterku pójdzie teraz.

Karolina zawahała się, dopiero później pozwoliła sobie na uśmiech. Przypomniały jej się te wszystkie momenty, kiedy mówiła, że nie ma się w co ubrać. Zamknęła szafę. Chyba już nawet nie chciała tych rzeczy.

Wzdrygnęła się tylko, słysząc niespodziewany dzwonek do drzwi. Zbyt gwałtowny, zbyt głośny, niechciany.

Najmniej w tym wszystkim miała ochotę na niego patrzeć.

– Masz ładowarkę?

– Spierdalaj – wycedziła tylko.

Młody, przystojny blondyn zmarszczył brwi, spoglądając na nią z wyrzutem.

– Co tak ostro? – oburzył się, jednocześnie bezceremonialnie wchodząc do środka. – Ej, wyprowadzacie się?

– Kuba...

W jej głosie musiało być coś, co sprawiło, że w końcu zrozumiał.

Mimo to nie ustąpił.

– Dlaczego?

Karolina gniewnie przewróciła oczami, zła na niego, że zabierał jej cenny czas, na siebie, że kiedyś ten jego upór jej imponował.

– Sprawdź w szufladzie w biurku – rzuciła przez ramię. Wróciła do walizki, musiała na niej usiąść, żeby móc ją zamknąć. Rozgorączkowana i zmęczona rozejrzała się po pokoju. Bez jej ubrań, porzrzucanych po meblach, bez jej głupich gadżetów na parapacie było tu tak pusto. I tylko wspólne zdjęcie Karoliny i Kuby nad szerokim łóżkiem świadczyło o tym, że kiedykolwiek tu mieszkała. Że kiedykolwiek dzieliła z nim jedną sypialnię.

– Czy to przeze mnie? – usłyszała za plecami nieśmiałe pytanie. Odwróciła się. I roześmiała, nie patrząc mu w oczy.

A Kuba, chociaż był zły, znów wyglądał jak naiwny, niedoświadczony dzieciak.

– Nie schlebiaj sobie – powiedziała z celową wyższością, doskonale wiedząc, jak ten ton na niego działa. – Już dawno nam się popsulo.

– I dobrze – stwierdził krótko. – On nie zasługuje na ciebie.

Znów śmiech. Nienaturalny i słaby. Najprostsza reakcja.

– To on wyrzucił mnie z domu. To ja nie mam gdzie się podziać. Nie wiem, kto tu na kogo nie zasługuje.

– To wprowadź się do mnie.

– Do mieszkania naprzeciwko? Faktycznie, przecież to genialne! – wykrzyknęła ironicznie. – Przecież zawsze chciałam mijać swojego byłego męża dzień w dzień na schodach.

– Rozwodzicie się? – podchwycił natychmiast Kuba.

– Nie – skłamała Karolina, nerwowo przygryzając wargi. Nie umiała przyznać się do porażki, nie przed nim.

Kuba tylko się skrzywił, bo docierały do niego sprzeczne informacje.

– Ale on mówił...

– Słucham? – spytała takim tonem, że chłopak aż się skulił.

– Karolina...

– Rozmawiałeś z nim?

– Kara...

– Rozmawiałeś?!

Patrzyła, jak znów robi krok w tył. Jak jego wąskie usta się zaciskają. Jak milczą. I jak przerażone są jego niebieskie oczy.

– Śmieszny jesteś, Kubuś.

Karolina z rezygnacją pokręciła głową, chwytając walizkę, mierząc chłopaka wzrokiem, gestem pośpieszając go do wyjścia. A on nie poruszył się. Stał w korytarzu na pewnych nogach, z zaskakująco zaciętą miną, choć wciąż bez słowa. Jakby naprawdę chciał walczyć, ale pomimo szczerych chęci nie potrafił powiedzieć za co.

Karolina stała tak blisko niego, że z łatwością mógłby ją pocałować. Ale bał się.

– Czasami żałuję, że to przez ciebie to wszystko się stało – powiedziała mu.

## KUBA

Przez niego? Przez niego?!

Krew go zalewała, śmieszne, dopiero teraz, idąc ulicą coraz szybciej, czuł całą tę adrenalinę buzującą mu w żyłach, czuł emocje,

których nie był w stanie wyrazić tam w mieszkaniu, przy Karolinie, słowa, które teraz chciał wykrzyknąć, a wcześniej nawet nie umiał ich odnaleźć.

Jebany Michał. Jebany... Zaczął przeklinać, chyba na głos, bo jakaś staruszka minęła go ze zgorzonym wyrazem twarzy. Jebany...

A przecież to on ją zdradzał. To on pieprzył się na prawo i lewo, a ona, a Karolina... Tylko raz go, Kubę, pocałowała. O raz za dużo. Bo Michał ich na tym przyłapał. Ich posadził o romans. Sam Michał pozostał bezkarny. I tego Kuba nie mógł znieść. Nie mógł sobie wybaczyć, że tym jednym, namiętym, aczkolwiek tylko pocałunkiem zniszczył Karolinie życie, które i tak nie należało do łatwych. I że ten drań to wykorzystał, bezczelny, jebany...

Cholera, i jeszcze nie wziął od niej tej ładowarki!

Kuba mocniej zacisnął palce na telefonie, wydającym coraz bardziej niepokojące dźwięki. Bateria zaraz padnie. Kuba jeszcze raz wybrał numer.

Jeden sygnał, drugi sygnał, cisza.

Rozłączył się.

Jebany.

Okej, wyluzuj, powiedział sobie Kuba. Wszystko będzie dobrze. Robi się ciemno. Będzie dobrze. Dzień się kończy. Pójdzie na piwo.

Przyspieszył kroku.

Tak, napije się piwa. Potem pomyśli o czynszu. Przecież ma wypić piwo. I kogoś poznać. Tak, po to też pójdzie do pubu. Pozna jakąś chętną laskę. Ładną. Bystrą. Chętną. Lepszą niż Karolina.

Wzdrygnął się, kiedy tuż nad nim rozbłysła latarnia, zaraz po niej wszystkie kolejne. Wziął głęboki oddech.

Chłodne, letnie powietrze. W nocy spadnie deszcz. Rano wszystko będzie dobrze.

Trzeba kupić piwo. Poczekać na deszcz.

Już pewniejszym krokiem wszedł na jezdnię. Rozdzwonił się telefon, niespodziewany hałas przeraził go, Kuba podskoczył, zatrzymał się, schylił, w tym szoku wypadła mu komórka.

Znajoma melodia wydała mu się nagle śmiesznie nie na miejscu.

Po drodze do nieba...

Rozległ się pisk opon, rozlał się ból, promieniście po całym ciele, jak krew na asfalcie, choć Kuba właściwie nie widział krwi, ujrzał tylko przerażoną kobiecą twarz, zanim wreszcie udało mu

się zamknąć oczy.

Pozostał ból, i krzyk, wiszące gdzieś w przestrzeni głuche „Bartek! Kurwa, Bartek!”, kobiecy płacz.

## MAGDA

Wciąż słyszała wściekły głos Bartka w słuchawce, jego coraz ostrzejsze, coraz bardziej obraźliwe słowa.

– Spierdalaj, mała ćpunko, dałabyś dupy, jakby ci tak na tym zależało, a nie pierdolisz bez sensu, masz już u mnie zaciągnięty kredyt, zapomniałaś? Jeszcze chcesz więcej? Jebana kurwo, spłać dług, żyła musi czekać! Gdzie jest moja kasa, pytam się.

– Bartek, Boże, Bartek...

– Kurwa, forsa! Nie będziesz mnie brać na litość! Najpierw kasa! Seksy albo kasa.

Bartek roześmiał się okrutnie, lekko i niesmacznie, jak zawsze, kiedy robił z siebie dealera i alfonsa. Magda zalewała się łzami. Ostatecznie komórka wypadła jej z ręki. Ona płakała. Na jej kolanach właśnie umierał człowiek. Chyba. Na pewno. W gruncie rzeczy Magda bardzo mało wiedziała o umieraniu.

Jakieś resztki rozsądku nakazały jej znaleźć telefon i wykręcić numer pogotowia. Podała informacje, wręcz wyrzuciła je z siebie. Wciąż płakała, a ręce jej drżały. Tamci coś mówili, zadawali pytania, chyba nawet udzielala odpowiedzi, ale nie pamiętała słów już zaraz po ich wypowiedzeniu. Nie pamiętała, co miała robić. Sciskała tylko tego człowieka za ramię.

Kołysała się z nim, w tył i przód, delikatnie, jak porzucone przez rodziców dziecko, samotne i słabe. Głodne. Magda była na głodzie. I ręka tak cholernie ją piekla.

Ręka, ręka zawsze najdotkliwiej odczuwała głód.

Ale teraz, o dziwo, od tego głodu ważniejszy był strach.

Za dużo krwi było wokół. I, zabawne, chyba słyszała muzykę.

Przyjechała karetka; widząc ją w tak wielkim szoku, ratownicy nie zastanawiali się, po prostu zabrali ją ze sobą. Chyba podali leki. Zadawali pytania, ale teraz już tylko milczała. Przestała płakać. Raz jej się tylko wyrwało:

– Zabiję cię. Zabiję cię, kurwa, Bartek – na co zareagowali wyjątkowo nerwowo. Zaczęli zwracać się tym imieniem do tego chłopaka. W dziwnym przeblysku Magda stwierdziła, że był przystojny. Blondyn. Gdzieniegdzie plamy krwi. Magda pokręciła głową. Chyba krzyczała. Ugryzła lekarza w rękę. Znow zaczęła

płakać.

A nie chciała tylko, by brali go za Bartka.

Dopiero szpital podziałal na nią uspokajająco.

Tam okazało się, że nie ma większych obrażeń, ale nie ma też dokumentów, jedynie obrzydliwą, rozległą, ropiejącą ranę. Że zajmie się nią policja. Czy coś jej grozi, czy ktoś z nią rozmawiał, Magda nie pamiętała. Siedziała na oświetlonym sztucznym światłem korytarzu pod okiem chudego, podstarzałego ochroniarza.

– Pan w ogóle kogokolwiek by złapał? – spytała, z zupełnie wypraną z emocji twarzą.

Ochroniarz odwrócił się do niej ostentacyjnie.

– Cholerne ćpuny – wymamrotał tylko. – Czekaj tylko, aż policja przyjedzie.

Magda czekała. I dobrze wiedziała, co robi. Wszystko im powie. Wszystko. O Bartku też. Na świecie nie powinno być takiego chamstwa. Powie im, co ten skurwiel jej zrobił. Potem mogą ją zamknąć.

Wcześniej zadzwoni.

Uśmiechnęła się, wykręcając numer. Powie mu, powie, że go znajda i zabija.

Nie. Kurwa.

Dopiero teraz zorientowała się, że to nie jej telefon. Że to komórka tego biedaka. Że zaraz rozładuje mu się bateria. Że ma jedno nieodebrane połączenie. Że ostatnim numerem, pod który dzwonił, był ten jeden, który teraz w końcu próbował się skontaktować. Po raz pierwszy od dwóch tygodni.

Numer podpisany był „Marcin”.

## MARCIN

Marcin z pewnym rozdarciem obserwował, jak na ekranie jego komórki wyświetla się znajomy numer, jak ekran mruga, a cichy dotąd pokój wypełnia standardowy sygnał połączenia. Obserwował, jak telefon wibruje, kręcąc się po stole, dzwoniąc i dzwoniąc, i wciąż wahał się, czy odebrać.

– O co ci chodzi, Kuba? – mruknął, przypominając sobie te wszystkie telefony, połączenia, które z premedytacją odrzucał, jednoznacznie dając mu do zrozumienia, że nie chce z nim rozmawiać, nie chce mieć z nim nic do czynienia. Ale teraz... Wtedy, dlaczego więc wtedy się złamał? I dlaczego, skoro już się złamał, wciąż nie potrafił odebrać?

– To urażona duma, prawda? Ty wspaniałomyślnie dałeś mi szansę, a on cię olał. I nie możesz tego znieść, prawda?

Marta nic nie rozumiała.

– To nie tak. – Marcin spojrzał na żonę znacząco. – Po prostu niewiele z tego rozumiem.

– Po prostu daj mi szansę.

Przewrócił oczami, bardziej zmęczony niż rozeźlony.

– A ile można? Nie widzisz, jak on się z nami bawi?

– A skąd wiesz, może coś się stało? – Marta spojrzała na niego znacząco. Nie wytrzymał, uśmiechnął się. Bo przecież wiedziała, że wobec jej uroku pozostaje bezbronny. Marta podeszła tylko i pocałowała go w usta.

– Kocham cię – przypomniała mu.

– I to ma wpłynąć na moją decyzję? – Marcin uśmiechnął się przebiegle, ona roześmiała się tylko.

– To twoja i tylko twoja decyzja, skarbie – powiedziała, na odchodne całując go jeszcze mocniej. Po plecach przeszedł mu przyjemny dreszcz.

Wibracje ustaly. Milczący, martwy telefon leżał przed nim na biurku, jakby na coś czekał. Marcin niechętnie tknął go palcem. Dobra, pomyślał, może następnym razem. Tylko...

– Dlaczego teraz nie dzwonisz? – mruknął.

Chwile ciągnęły się w nieskończoność.

– Zadzwoń, tato. To cię nic nie kosztuje. Zadzwoń.

Marcin odwrócił się zaskoczony. Niska, ciemnowłosa dziewczynka nie patrzyła na niego, tylko na wielkiego, spasionego kota, którego – mimo jego wyraźnych protestów – trzymała w objęciach.

– To nie jest takie proste, słonko – powiedział.

Natalka podniosła na niego zielone oczy. Miała tylko dziesięć lat, a już wyglądała kropka w kropkę jak matka.

– Nie martw się, tato. Po prostu powiedz „Przepraszam”.

## ALICJA

Ramzes był największym kotem, jakiego Ala kiedykolwiek widziała.

– Strasznie długo cię nie było – stwierdziła z obrażoną miną, spoglądając na Natalkę. – A przecież on nie biega za szybko. Jest taki gruby.

Natalia wzruszyła ramionami, siadając na podłodze obok

przyjaciółki. Ramzes miauknął przeraźliwie.

– Przepraszam, musiałam pomóc tacie.

– Coś się stało?

– Nic takiego. Klóci się z takim śmiesznym kolegą. Chcesz go potrzymać? – Wyciągnęła kręcące się w jej rękach kocisko w stronę Alicji.

Ala bardzo chciała, nie miała tylko pewności, czy Ramzes chce. Poza tym nie bardzo miała jak.

– Mama do mnie dzwoniła – powiedziała. – Powiedziała, żebym już wracała. Ma przyjechać do nas ciocia.

Natalka nie była głupia i dobrze знаła Alę.

– To czemu się nie cieszysz? – spytała, marszcząc gęste brwi.

Ala skrzywiła się tylko.

– Cieszę się, bardzo się cieszę. Masz fajnego kota. Muszę już wracać. Dobranoc.

Bardzo nie lubiła kłamać, szczególnie Natalce. Znały się od przedszkola i zawsze były ze sobą szczerze, przynajmniej się starały. I właśnie żeby nie łamać tej zasady, Ala najchętniej przemilczałaby temat rodziny. Rzadko zapraszała Natalkę do domu, zwykle przesiadywały u niej. Jej ani jej rodzicom to nie przeszkadzało, byli tacy mili. No i mieli kota.

Ala doszła do domu w przeciągu piętnastu minut, ale to tylko dlatego, że biegła. Zziębnięta, zatrzymała się na chwilę przy furtce i opierając ręce na kolanach, głęboko zaczerpnęła powietrza. Potem wyprostowała się i dziarskim krokiem weszła do środka.

Pewność siebie opuściła ją w korytarzu.

– W CIAŻY? W JAKIEJ, KURWA, CIAŻY?!

Dziewczynka aż skuliła się w sobie. Dawno nie słyszała mamy aż tak rozgniewanej. I przestraszyła się nie na żarty, choć przecież wiedziała, że tak będzie. Ostatnimi czasy wizyty cioci oznaczały tylko krzyk.

– Doma, co ty sobie wyobrażasz? On ma żonę!

– Już prawie nie ma! – głos ciotki był głośny i stanowczy, ale jakby niezdecydowany. Ala nie widziała jej, obie kobiety siedziały za uchylonymi drzwiami w kuchni, ale doskonale potrafiła sobie wyobrazić jej twarz – bladą, mimo warstwy makijażu, wykrzywioną w brzydkim grymasie, złą, ale o smutnych, niebieskich oczach.

Mamusia wybuchnęła gromkim śmiechem.

– A co to znaczy „prawie”? – spytała. – Ma ją, miał, kiedy go poznałaś. Co ty sobie w ogóle myślałaś?

– Postaw się w mojej sytuacji. Kurwa, ja go kocham!



Ala, mimo strachu, z policzkiem przyciśniętym do ściany, zerknęła przez szparę do środka. Mama i ciocia siedziały przy stole, ciocia elegancko ubrana, mama w dresie. Przez chwilę nawet faktycznie wydawała się rozbawiona. A potem wyraz twarzy mamusi się zmienił, zwykle jasne oczy pociemniały. Ali przypomniało się, jak kiedyś popsula ten ładny obrazek, który namalowała mama. Był na nim szczupły, uśmiechnięty mężczyzna, którego Alicja nie знаła. Choć był trochę podobny do niej, kiedy patrzyła w lustro.

Mamusia bardzo krzyczała, kiedy niechcący rozlała soczek na płótno. Naprawdę niechcący.

– Wybacz, ale nie potrafię się postawić w twojej sytuacji. Nie jesteś poważna, Dominika. I nigdy nie miałaś męża, własnej, prawdziwej rodziny. Nie wiesz, co to znaczy. Nie wiesz, co to znaczy to stracić. Gdyby to był mój mąż...

– Och, przestań, ty nigdy nie miałaś męża.

Alicja zamknęła oczy, kiedy mamusia uderzyła cicię w policzek.

– Jak śmiesz, ty dziwko! Wynoś się, słyszysz? Wynoś! I nie szukaj u mnie pomocy! Ani ty, ani to twoje dziecko!

Beztrouski śmiech cioci.

– Zabawne, słyszeć to od ciebie, siostrzyczko. Bądź co bądź, ty też urodziłaś bękarta.

Alicja, sama do końca nie wiedząc czemu, po raz pierwszy schowała się przed cicią Dominiką, kiedy ta wychodziła, trzaskając drzwiami. Później w swoim pokoju, zakrywając się po sam czubek głowy kołdrą we wroźki, starała się jak najszybciej zasnąć. Nie mogła.

Cały czas słyszała, jak mama płacze w pokoju za ścianą.

## DOMINIKA

Dominika z hukiem zatrzasnęła drzwi, zrzuciła w korytarzu szpilki i od razu padła na kanapę.

– Muszę powiedzieć Kamilowi – stwierdziła.

Justyna, jej współlokatorka, spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jesteś tego pewna?

– Kurwa, pewnie, że nie jestem! – wybuchła, wznosząc ręce w jakimś nieokreślonym geście.

Z kuchni, w wyciągniętej koszulce i dresach, wyszła Renata.

– Wyłącz telewizor – poleciła Justynie.

W małym mieszkaniu nagle zrobiło się strasznie cicho.

Dominika odetchnęła głęboko, kryjąc twarz w dłoniach, kuląc się na kanapie.

– Pokłóciłam się z Marysią – wyszeptala, już spokojnie. – Nie miała zamiaru mnie pocieszać, więc wyżyłam się na niej, wypominając jej Tadeusza.

– Tę wpadkę? – spytała Justyna, a Renata zgromiła ją wzrokiem.

– To była miłość jej życia. – Dominika westchnęła. – Znali się krótko, on zginął w wypadku, a ona wciąż go kocha. Planowali ślub, mają razem dziecko. Pewnie mieliby kolejne... Kurwa, co ja zrobiłam?

– Wybacz ci. – Renata przycupnęła na brzegu stolika naprzeciwko kanapy. Położyła dłonie na kolanach Dominiki i zaczęła delikatnie masować. – Pomyśl o sobie. Siostra zrozumie. Ale co ty chcesz zrobić?

Niebieskie oczy Dominiki były zupełnie przerażone.

– Nie wiem – wyszeptala. – Zupełnie nie wiem. Nie wiem... Wiem! Muszę zadzwonić do siostry!

– Doma, nie teraz, zaczekaj...

– Dajcie spokój. – Dominika wstała gwałtownie. – Gdzie jest ten kurewski telefon?

– Nie przeklinaj – upomniała ją Renata. Z nich trzech to ona była najpoważniejsza, ona pilnowała porządku. I nie miała nikogo. Justyna miała dobry głos, podjadała wieczorami i była w stałym związku. Dominika za to lubiła krzykliwy makijaż i zachodziła w ciążę z zajętymi, sporo starszymi facetami.

Uzupełniały się.

Rozdzwonił się telefon i we trzy jak na komendę zamarły w bezruchu.

– To twój.

– Wiem, że mój – warknęła Dominika.

– Kto to? – spytała Renata.

– Nie chcę wiedzieć.

– Ciacho41 – odczytała Justyna.

– To Kamil.

– Odbierz.

– Nie odbiorę.

Telefon zamilkł. Przyjaciółki spojrzały po sobie.

– Przyniosę alkohol – stwierdziła Renata.

– A ja chusteczki – dodała Justyna.

Po godzinie wszystkie trzy były kompletnie pijane, zataczały

się ze śmiechu, gdy Dominika patetycznym tonem opowiadała, jak to jej nowy znajomy nie podolał jej ulubionej pozycji i jak to negatywnie wpłynęło na ich porozumienie dusz. Justyna właśnie miała powiedzieć, co o tym wszystkim sądzi, gdy Renata dostała SMS-a.

– Kto to? – Dziewczyny rzuciły się na nią niczym sępy. Tak robią przyjaciółki.

Renata z błogim uśmiechem wzruszyła ramionami.

– A ja wiem? Aaaaa... Wiem. Taki koleś, pomógł mi w bibliotece, w dziale z... – raptownie zaczerpnęła powietrza, potem czknęła – romansem! – wybuchnęła śmiechem, a za nią, nie wiedzieć czemu, Justyna. – Jak mu tam...

## MICHAŁ

Jechał szybko, a jeszcze docisnął gaz, w ostatniej chwili przejechał na światłach, tuż przed tym, jak czerwone zastąpiło żółte.

Jechał szybko i czekał.

Dzwonił. Sygnały mijają, w końcu włączała się automatyczna sekretarka.

Gówniara nie odbierała.

A była taka ładna. Taka zgrabna, nęcąca, o długich ciemnych lokach i jeszcze dłuższych nogach, które tak go rajcowały. Wyobrażał ją sobie w kusej spódniczce i białych podkolanówkach, jakie noszą japońskie uczennice, wyobraził ją sobie taką młodziutką i niewinną, jak ją rżnie, jak pojełkuje pod nim, taka słodka i taka chętna, aż poczuł znajomy ucisk w spodniach.

A ona nie odbierała. Ta mała kurwa nie odbierała. Po tym, jak zachęcająco na niego zerknęła, tam w bibliotece, pomiędzy regałami, jak przygryzała wargi, gdy odwzajemnił jej spojrzenie, po tym, jak oblizła je kusząco, patrząc mu prosto w oczy, aż w końcu do niej podszedł.

Już wtedy stał na baczność. Już wtedy wyobrażał ją sobie jaką szarą kujonkę, nielubianą okularnicę, i siebie jako pożądanego belfra, przed którym tylko ujawniała swoje gorące, niezaspokojone oblicze.

To dlatego poprosił ją o numer. Czy podanie mu owego numeru nie było jednoznacznym zaproszeniem do zrealizowania tej wizji?

Nie rozumiał tego. Liczył na parę nowych doznań tej nocy, z nową dziewczyną, ale wychodziło na to, że będzie musiał obejść się smakiem. Ostatecznie mógł oczywiście zatelefonować do Olgi

albo Beaty – tym dwóm nigdy nie brakowało temperamentu, ale jemu brakło już trochę siły i ochoty. Chciał dziewczyny z biblioteki. Zapisał ją sobie w telefonie jako „japonka” i tak bardzo, fizycznie, chciał ją mieć. Dziś w nocy. Najlepiej w tym samochodzie.

A ona zachowała się jak zwykła gówniara.

– Jak ja nienawidzę takich dziewczyn – mruknął ze złością, co nie zmieniało faktu, że jego mały przyjaciel przestał być już taki mały, wręcz przeciwnie, przyjmował imponujące rozmiary, i nie zamierzał tego marnować, a już na pewno z czegokolwiek rezygnować.

Spojrzał na zegarek.

Kurwa. Było zbyt późno, by dzwonić do Beaty. A czy i Olgi nie widział ostatnio z jakimś młokosem?

Zawsze się śmiał, że w końcu zostanie sponsorką. On w tych sprawach nigdy nie wykorzystywał pieniędzy. Nie były mu potrzebne.

Jeszcze raz zerknął na zegarek. Było późno, bardzo późno, i chyba nie pozostawało mu nic innego, jak wrócić do centrum.

Z pewnym rozczarowaniem wysiadł przed kamienicą. A potem uśmiechnął się, widząc zapalone światło w sypialni.

– Co ty tu robisz? – wrzasnął, przekraczając próg, nie bez satysfakcji. – Czy nie kazałem ci się stąd wynosić? Nie nadużywaj mojej dobrej woli, puszczałszka szmato.

Mieszkanie pogrążone było w ciemności, prawie potknął się o czekające w korytarzu walizki. Krzyczał, ale postać w sypialni nie reagowała. Przez otwarte drzwi widział, jak kuli się na łóżku, słyszał jej płacz. W końcu dostrzegł trzymany w ręku telefon.

Zawahał się.

– Karolina? Karo...lina – głos mu zaszłał, kiedy podniosła na niego oczy.

A ona uśmiechnęła się, nienaturalnie, uśmiechem zupełnie wypranym z emocji, aż usiadł i przytulił ją.

– Dzwonili ze szpitala. Dzwonili... Dzwonili ze szpitala...

# Tramwaj

Popołudnie. Tramwaj na Wolę nie jest wypełniony nawet w połowie. Każdy z nosem wetkniętym w książkę, w telefon, w szybę, milczy po starciu z poniedziałkiem i oddycha cicho sześciostopniowym powietrzem, szczęśliwy, że już bliżej niż dalej do wszystkiego, i dalej niż bliżej od niczego. Na którymś z przystanków do wagonu wlewa się typ. Nie mężczyzna, nie facet, ale właśnie Typ. Kiedyś Masłowska nazwałaby go Silny, ale Silny to był ktoś, a dziś to jedynie Typ. Jego spodnie i bluza są cudownie szare, włosy beznadziejnie krótkie, a oczy rozpaczliwie naćpane.

– Siema mordy – wita pasażerów i odpala papierosa od strony filtra. Za chwilę zacznie pluć tytoniem i walić głową w poręcz. Przeczuwając nadchodzący spektakl zamykam książkę i obserwuję odsłaniającą się kurtynę.

– Przywitajcie się ze mną! – pokrzykuje. Jego wzrok kolyszący się w czasie nieliniarnym na planecie Pluto wierci w każdym z nas dziurę i mimowolnie wyciąga pochowane w kieszeniach ręce do przyjaznego „Przybij piątkę, kurwa!”.

Kiedy już cały tramwaj, łącznie z emerytami złączy się w kłębnięciu z typem, następuje zamknięcie prologu i przechodzimy do aktu właściwego.

Artysta na miarę naszych czasów siada po turecku na końcu wagonu i zaczyna śpie-wać „sto lat”. Życzy wszystkim najlepszego, kilkukrotnie powtarzając, że przecież inaczej być nie może.

– Inaczej być nie może! Inaczej być nie może! – wrzeszczy jak opętany, wyraźnie zadowolony z tak efektownej ekspresji.

– To twoja żona? – pyta chłopaka siedzącego na wprost mnie i wbija swoje długie palce w moje czoło.

– Nie – pada prawdziwa, niestety, odpowiedź.

– No to po chuj tu zalegasz! – konstatuje, a strużka jego śliny ścieka na podłogę.



Typ odbija się od siedzeń jakieś siedemset razy zanim wceluje w to obok mnie.

– Piękna rączka, cacy dupa – zagaja, przeżuując, zdaje się, własny język.

Pochyla się nade mną w charakterystycznej pozycji „na żebraka” i czeka reakcji. Jestem urzeczona fantazją komplementu, ale nie daję po sobie poznać. Uśmiecham się, bo to wychodzi mi najlepiej.

Typ prostuje się, zaciąga koszulkę jakby poprawiał krawat i z niespodziewaną nonszalancją pyta – A gdzie śmigasz?

A ja ze spodziewanym debilizmem odpowiadam – Na Majakowskiego.

– A no to ja go znam! Wykrzykuje pełen radości z powodu wspólnych znajomych.

– A Pani jest wolna?

To jest moment, kiedy należy natychmiast wycofać swoje piękne rączki i cacy dupę w trosce o ich bezpieczeństwo, także milczę.

– Pytam, czy Pani jest wolna kobieta! – dociska dwie ostatnie sylaby i w uszach słyszę tylko... -bieta... -bieda.

– Wolna, wolna – odpowiadam i chowam twarz wewnątrz twarzy, a nawet głębiej.

– A chuj prawda! – robi teatralną pauzę, a w jego trzewiach bulgocze nadchodząca tyrada. – Teraz nie ma wolnych! Nie ma wolnych ani mnie, ani was. Wszystko to dramat – wstaje i zawiesza się na poręczu niczym małpa. – Wiesz co musisz robić, bo inaczej to chujnia – jego biodra wraz z jajami kolyszą się centralnie na wprost mojej twarzy. – Musisz ciągnąć bajere!

Wszystkiego najlepszego, przecież inaczej być nie może.

Roma Heinemann

# The story of anima

część 1

*Nikt nie może nigdzie dojsć, jeśli skądś nie odszedł.*

~ John Updike

Otworzyła drzwi i z typową dla siebie obojętnością spojrzała na brata. Czegoś chciał, inaczej by tu nie przychodził. Spojrzała mu przez ramię i zobaczyła mężczyznę. Wzrok utkwił w ziemi, dawno nie widział jedzenia, mydła ani brzytwy. Wyglądał gorzej niż fatalnie. Wychudzony, stare i zniszczone ubrania wręcz na nim wisiały. Czarne włosy miał brudne i nieuczesane, choć na pewno dodawały mu uroku, gdy były czyste. Nie golił się co najmniej od kilku tygodni, ale musiała przyznać, że bez brody jakoś nie mogła sobie go wyobrazić. Był blady. Oczy zdradzały jego tożsamość. Żyd. Po co go tu przyprowadził? Po co ją naraża? Doskonale zdaje sobie sprawę, co jej grozi. Utkwiła wzrok w zdeterminowanym spojrzeniu Pierre'a. Widać, że są rodzeństwem. Aż za bardzo.

– Czego chcesz? – spytała głosem tak zimnym i nieprzyjemnym, że jego towarzysz wzdrygnął się, ale nie podniósł wzroku. Ona nadal wpatrywała się w brata.

– Dzień dobry, Constance – westchnął – miło cię widzieć.

– Czego chcesz?

– Możemy wejść?

– Nie.

Nie był zaskoczony. Spodziewał się tego.

– Wiem, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego – nie mogła się pogodzić z jego konspiracją – ale to nie o mnie chodzi – zawahał się – tylko o niego – spojrzał przez ramię na mężczyznę, który niepewnie podniósł głowę.

– Ach, mam przygarnąć jakiegoś Żyda, tak? To chcesz powiedzieć? – kpiarsko odparła mierząc wzrokiem jednego i drugiego.

– Constance, proszę...

– O co? Mało masz miłosiernych w Paryżu?

– Tylko tobie ufam na tyle, aby o to prosić. Mimo wszystko.

Roma Heinemann

The story of anima

– Mimo wszystko – prychnęła – jak robi się nieciekawie, to sobie przypominasz, że masz siostrę? – wojowniczo zrobiła krok do przodu. Trafiła w samo sedno. Wygrała. Pierre zawahał się.

– On potrzebuje pomocy. Tylko ja mu zostałem – natychmiast zrozumiał swój błąd. Poczul na sobie chłód jej spojrzenia. Już miała wymierzyć mu policzek, kiedy rozległ się cichy, niemal niesłyszalny głos.

– Proszę się nie gniewać, madame Manet – zaskoczył oboje, nawet siebie. Ona spojrzała na niego, Pierre tylko się wyprostował – Chodź – dodał ciszej do towarzysza, prawie szepnął.

Westchnęła, przewróciła oczami. Wzrok, niemal niezauważalnie, złagodniał. Przecież nie jest bezduszną. Cofnęła się o krok.

– Nie, proszę, dajcie mi chwilę, dobrze? – spojrzała w bok. Przegrała. A jednak – przecież nie jestem potworem – zwróciła się do Żyda – nie jestem żadną antysemitką. Spójrz na mnie! Rozumiesz, co mówię?

Nieśmiało podniósł wzrok. Był przerażony. Bał się. Bał się tego, co może mu się stać. Bał się ryzyka, jakie ciągnie za sobą jego osoba. Jej też się bał. Starał się to ukryć, okazywać tylko wdzięczność, ale widać było, że to wszystko go przytłacza. Dostrzegła w jego oczach, oprócz strachu, wstyd. Rozumiała to. Wciąż wstała niewzruszona, ale wydawało jej się, że zrobiło jej się go żal. Nikt nie lubi litości.

– Na jak długo? – znowu zwróciła się do brata.

Spojrzał na nią. Oboje znali odpowiedź. Pierre wolał milczeć, spuścił nawet wzrok. Była się tylko nie rozmyśliła. Zapanowała niezręczna cisza. Znowu utkwiała wzrok w ziemi, potem powoli podniosła głowę i spojrzała na niego. Nie była pewna, kogo albo czego nienawidzi bardziej. Brata, Żyda, siebie czy może wojny. Jedno było pewne. Wpadła w niezłe bagno.

– Rozumiem – odparła po dłuższej chwili – zapraszam zatem.

– Dziękuję – odetchnął z ulgą Pierre.

Otworzyła szeroko drzwi. Cofnęła się do korytarza, a za nią weszli mężczyźni. Zatrzymała się i mało zdecydowanie odwróciła.

– Przedstawisz mi się? – spytała Żyda, który wciąż miał spuszczone głowę.

– Serge – odparł przerażony faktem, że znowu się do niego odezwała – Mam na imię Serge.

– Dobrze – odpowiedziała i niemal niezauważalnie się uśmiechnęła. Pod nosem. Nie widzieli.

Nie zdążyli wyjść z korytarza prowadzącego do pokoju

gościnnego, kiedy rozległ się głośny odgłos upadku. Constance gwałtownie się odwróciła i zamarła. Zaraz jednak, równie gwałtownie, oprzytomniała.

– Na Boga! Boże, Pierre! – krzyknęła rzucając się na podłogę.

Serge leżał twarzą do ziemi, a jego towarzysz nerwowo usiłował go podnieść. Roztrzęsionego wsparły zdecydowane dłonie siostry.

– On jest ranny! – ciężko i jeszcze bardziej nerwowo wysapał Pierre starając się nawiązać jakikolwiek kontakt wzrokowy z kobietą. Zanim dotarło do niej, co powiedział, poczuła krew na palcach. Krwawił z brzucha.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?! Połóż go na plecy! – syknęła do brata – Połóż tu! Tu!

Żyd ciężko oddychał, ale był przytomny. Jego brudna, kiedyś pewnie biała, koszula czerwieniła się coraz szybciej. Constance zdecydowanym ruchem rozerwała ją i utkwiała martwo wzrok w ranę. Było źle. Nawet gorzej.

– Postrzał – rzuciła jakby do siebie – kiedy?

Milczał.

– No kiedy?!

– Trzy dni temu.

Nawet nie podnosząc głowy, dostrzegł jej mordercze spojrzenie. Co on narobił?

– Trzy dni temu? Trzy?! – teraz już krzyczała – czy ty jesteś poważny? Patrz, co się stało. No patrz!

Spojrzał z bólem i wstydem w oczach na Serge'a. Dostał pod żebrami. Odsłonięta rana wyglądała paskudnie, była poszarpana, krew broczyła z niej coraz bardziej. Skóra wokół była przeraźliwie sina. Cuchnęło.

– To moja wina. To przeze mnie go postrzelili – powiedział cicho.

– Nie obchodzi mnie to. Idź po wodę. Do studni. Krany nie działają. Szybko! – odparła rwąc leżące w rogu prześcieradło – No rusz się, idioto!

Pierre wstał i wybiegł z domu. Constance delikatnie oderwała resztki starego, brudnego i zatęchłego opatrunku, po czym przyłożyła czyste strzępy materiału. Gdy miała pewność, że zahamowała krwawienie, również wstała i pobiegła do kuchni. Nerwowo otwierała wszystkie szafki i szuflady. Gdy w końcu wpadło jej w ręce poszukiwane pudełko, uśmiechnęła się z satysfakcją. Szwy. Wiedziała, że kiedyś się przydadzą. Wróciła do rannego. Znowu

zaczął krwawić.

– Cholera – zaklęła klękając przy nim – Pierre!

Chwilę później stanął w drzwiach, trzymając wiadro w drżących dłoniach.

– Nie moja wina, że to cholerstwo tak ciężko chodzi – wysapał – co z nim?

– Źle. Nie mogę zatamować krwotoku – odparła przelewając wodę do przyniesionej miski. – Masz, idź podgrzać resztę. Pospiesz się.

Zaczęła przemywać delikatnie brzegi rany. Nagle ją olśniło.

– Pierre!! – zawołała – w szafce na prawo od zlewu stoi mała buteleczka. Przynieś ją!

– Gdzie, Constance, tu nic nie ma!

– Poszukaj! Musi być.

– Woda utleniona?

– Tak! Szybciej!

Wbiegł zdyszany z wiadrem w jednej i buteleczką w drugiej ręce.

– Skąd to masz? – padł na kolana przy mężczyźnie.

– Chyba jestem lekarzem, tak? Mam swoje zapasy.

Zmoczyła kolejną szmatkę. Stos zakrwawionych skrawków stale się powiększał. Znowu przemyła ranę, po czym sięgnęła po preparat, którym zwilżyła kolejny fragment prześcieradła i bez wahania przyłożyła do rany. Serge gwałtownie i głośno jęknął, zacisnął zęby. Nadal był przytomny.

– Spokojnie, przyjacielu. – oparł jego głowę na swoich kolanach – ona jest lekarzem, pomoże ci – spojrzał z lękiem na kobietę.

– Masz wódkę? – spytała nie odrywając wzroku od rany.

– Co mam? – nawet nie próbował kryć zdziwienia.

Constance spojrzała na niego jak na głupca.

– Wódkę. W torbie, sprawdź czy masz!

– Ale po co ci wódka teraz? – zapytał szperając w zniszczonej, skórzanej torbie.

– Wojna chyba ci mózg wyżarła do końca – prychnęła – czym mam to dezynfekować? – wyjęła szwy.

Zrozumiał. Pokręciła głową z niedowierzaniem.



– Mam, ale tylko trochę – wyjął pierśiówkę.

– Wlej – podała mu pustą miszkę.

Pierre posłusznie wlał alkohol. Constance wrzuciła szwy, igłę, po czym sama zanurzyła tam dłoń.

– A on? – zapytał patrząc na Serge’a – nie znieczulisz go?

– Czym? Tym syfem? To mu tylko zaszkodzi. Trzymaj go mocno.

Tym razem się zawahała. Ręce jej drgnęły. Dawno tego nie robiła. Zmierzyła wzrokiem Żyda, spojrzała niespokojnie na brata, chwilę skupiła się na twarzy rannego. Zamknęła oczy usiłując się skoncentrować, westchnęła i delikatnie wbiła igłę. Rozległ się krzyk. Serge zawył, zacisnął zęby i stracił przytomność. Lepiej dla wszystkich.

## Joanna Roś

### Gość

monodram na motywach opowiadania Alberta Camusa  
(w przekładzie Joanny Guze)

*Ciemność.*

*Odgłos otwieranych drzwi i pstryczka elektrycznego.*

*Nagle światło, które pada z góry.*

*Pomieszczenie:*

*wąska, zaścielona kanapa, spod której wystaje sznur,  
przy niej przykryte równo ułożonym kocem łóżko polowe,  
zabytkowy piec żelwno-kaflony na nogach,*

*kufel,*

*wieszak – na nim sweter i kapelusz,*

*na środku „kontener” albo ogromne pudło z jabłkami,*

*obok worek wypełniony nimi do połowy,*

*tablica szkolna przykryta trzema takimi samymi workami, które w całości  
ją zakrywają,*

*na czarnym stole rewolwer,*

*nad nim zawieszona nisko żarówka elektryczna.*

*Tło:*

*w głębi sceny zamknięte, drewniane, podwójne, odrapane drzwi z szybami.*

## 1.

*Mężczyzna w pełnych butach i koszu.*

*Sięga po sweter wiszący na wieszaku. Chwilę patrzy za okno. Zakłada sweter.*

Było zimno, wróciłem do szkoły po sweter. Obliczyłem, że będą na pagórku dopiero za pół godziny. Jeden był na koniu, drugi szedł pieszo. Z wysiłkiem posuwali się wolno po śniegu, między kamieniami. Koń potykał się od czasu do czasu. Nie słyhać go było jeszcze, ale już widziałem parę buchającą z jego nozdrzy. Pomyślałem, że przynajmniej jeden z mężczyzn musiał znać okolicę. Szli ścieżką, która od wielu dni ginęła pod brudnym śniegiem.

*Podchodzi do podwójnych drzwi w głębi sceny. Zagląda przez szybę.*

Po czarnej tablicy płynęły cztery rzeki, narysowane kredą w czterech różnych kolorach. Płynęły dokładnie od trzech dni.

*Podchodzi do pieca. Odgarnia popiół. Zostawia otwarte drzwiczki.*

Śnieg spadł nagle w połowie października po ośmiu miesiącach suszy. Deszcz nie spadł i moich dwudziestu uczniów przestało chodzić do szkoły. Trzeba było czekać na pogodę.

*Na chwilę odwraca się za siebie, patrzy w stronę okna, po czym otrząpuje ręce.*

Przy dobrej pogodzie widać fioletową ścianę góry, o której wiesz, że za nią jest już tylko pustynia.

*Chwila ciszy.*

Nie było ich już widać. Musieli wejść na ścieżkę. Niebo było mniej ciemne: w nocy śnieg przestał padać. O drugiej po południu zdawało się, że dzień się dopiero zaczyna. Ale było to lepsze od tych trzech dni, kiedy gęsty śnieg padał w nieustannych ciemnościach, jak dzisiaj. Wiatr uderzał w drzwi klasy... Przez długie godziny siedzę cierpliwie w swoim pokoju, z którego wychodzę tylko do przybudówki, żeby przynieść węgiel. Na szczęście ciężarówka z najbliższej wsi przywiozła żywność na dwa dni przed zawieją. Mam zresztą dość zapasów, żeby to przetrzymać.

*Podchodzi do kontenera z jabłkami.*

Muszę je rozdać tym uczniom, których rodziny padły ofiarą suszy. Ale to spotkało wszystkich. Codziennie też daję trochę zboża dzieciom. Brakuje im tego zboża w taką pogodę. Może jakiś ojciec albo starszy brat przyjdzie wieczorem i będę mógł dać im do tego trochę ziarna. Trzeba jakoś przetrwać, chociaż trudno będzie zapomnieć o tej armii cieni w lachmanach, miesiąc po miesiącu. O ziemi dosłownie wypróżonej i kurczącej się, o kamieniach rozsypujących się pod stopą.

*Podchodzi do na wpół wypełnionego worka z jabłkami, przesypuje do niego owoce z „kontenera”.*

„Żyjesz jak mnich w tej swojej zapadłej szkole!”

Ale jestem zadowolony z takiego życia. Czuję się wielkim panem. Mam tynkowane ściany, wąską kanapę, studnię i co tydzień zaopatrzenie w wodę i żywność. I nagle ten śnieg, niespodziewanie, bez ulgi deszczu...

*Odkłada worek pod ścianę, kiedy jego uwagę przykuwa „wspomnienie z okna”.*

Zobaczyłem ich już w połowie wysokości stoku. W jeźdźcu rozpoznałem Balducciego, starego żandarma. Znam go od dawna. Balducci prowadził na sznurze tego drugiego. Tamten ze związanymi dłońmi i pochylonym czołem. Żandarm chyba przywitał mnie jakimś gestem, cały pochłonięty patrzeniem na tego drugiego, ubranego w sandały i skarpetki z grubej, surowej wełny. Zbliżali się. Balducci jechał tak, żeby koń nie uderzył tego człowieka. W pewnym momencie, z odległości, z której dobiegał głos, Balducci krzyknął: „Trzy kilometry zrobiliśmy w godzinę!”. Nie odpowiedziałem. Widziałem, że ten na sznurze ani razu nie podniósł głowy.

*Podchodzi do pieca – już się rozpalilo. Zamyka drzwiczki. Patrzy w publiczność.*

Wejdźcie się ogrzać.

Balducci zsiadł ciężko z konia, nie wypuszczając sznura. Ma małe, ciemne i głęboko osadzone oczy pod opalonym czołem i usta pełne zmarszczek. Wygląda, jakby był czymś zaaferowany. ALBO Wygląda na pilnego i uważnego. ALBO Wygląda, jakby zastana-



wiał się nad czymś pilnie i uważnie. Konia zaprowadziłem do przybudówki i wróciłem do nich. Wprowadziłem ich tutaj.

*Patrzy w publiczność.*

Napalę w klasie, tam będzie nam wygodniej.

*Otwiera podwójne drzwi w głębi sceny i znika za nimi.*

## 2.

*Wraca. Powoli otwiera drzwi i rozgląda się po scenie.*

Kiedy znowu wszedłem do pokoju, Balducci siedział na kanapie. Rozwiązał sznur łączący go z tym drugim. Drugi przykucnął przy piecu. Ręce miał wciąż związane, czapkę zsuniętą teraz na tył głowy. Patrzył w stronę okna. W pierwszej chwili zobaczyłem tylko jego wielkie wargi. Pełne, gładkie. Nos miał prosty, oczy ciemne i rozpalone. Czapka odsłoniła uparte czoło i cała jego twarz, blada od zimna, wydawała się niespokojna i zbuntowana. Wtedy ten człowiek zwrócił się do mnie twarzą i spojrzał prosto w oczy.

*Patrzy w publiczność.*

Przejdźcie do klasy, zrobię wam miętową herbatę.

Balducci powiedział: „Dzięki. Co za życie. Dobrze, że niedaleko mi już do emerytury”. A ten drugi wstał i powoli, trzymając przed sobą ręce związane w przegubach, przeszedł do klasy.

Zamyka za sobą drzwi, jak gdyby zamykał je za żandarmem i tym drugim. Siada na kufrze.

Razem z herbatą przyniosłem krzesło. Ale Balducci rozsiadł się już na pierwszej ławce szkolnej. Więzień usiadł koło tablicy, naprzeciwko pieca. Podąłem mu szklanekę z herbatą. Można mu rozwiązać ręce?

*Pochyla się.*

Stawiając szklanekę na ziemi, klęknąłem obok niego. Nie mówiąc ani słowa, patrzył na mnie tak samo, swoimi płonącymi od gorączki oczami. Kiedy miał już wolne ręce, potarł o siebie nabrzmiałe przeguby, wziął szklanekę i wypił gorącą herbatę małymi, szybkimi

łykami.

Znów patrząc w publiczność, prowadzi wymaginowany dialog między sobą a żandarmem.

I dokąd tak idziecie?

„Do ciebie, synu”.

Szczególni uczniowie. Zostajecie na noc?

„Nie. Ja wracam, a ty odprowadzisz kolegę. Czekają na niego w urzędzie”.

Co to znaczy? Kpisz sobie ze mnie?

„Nie, synu. Takie są rozkazy”.

Rozkazy? Nie jestem... To nie mój fach.

„I co z tego? W takim czasie robi się wszystko. To są rozkazy. Rozkazy ciebie także dotyczą. Nie jest spokojnie, slyszalem, że szykują bunt. Posłuchaj, synu. Bardzo cię lubię, ale zrozum. Jest nas dwunastu. Żeby patrolować teren wielkości małego departamentu, muszę wracać. Dostałem zadanie, aby ci go oddać i natychmiast wrócić. Nie można go było tam zostawić. Musisz go jutro odprowadzić. Dwadzieścia kilometrów chyba cię nie przerazi? Potem będziesz miał spokój. Wrócisz do swoich uczniów i spokojnego życia”.

*Nastłuchuje, po czym kontynuuje „dialog”.*

Ciągle słyszę, jak koń parska i uderza kopytem za ścianą.

*Chwila ciszy.*

Co on zrobił? Mówi w naszym języku?

„Nie, ani słowa. Szukano go od miesiąca, ale go ukrywali. Zabił swojego kuzyna”.

Jest przeciwko nam?

„Chyba nie. Ale czy to można wiedzieć. Sprawy rodzinne. Podobno jeden był winien zboże drugiemu”.

*Na słowo „zboże” wzdrzyga się.*



Nie bardzo wiadomo. Krótko mówiąc, zabił kuzyna nożem ogrodniczym. Wiesz, jak barana. Ciach! Ciach!

*Robi ruch, jak gdyby ciągnął ostrzem po szyi.*

„Dziękuję, chłopcze. A teraz leć”.

Widziałem, jak wyciąga nóż z kieszeni. Co robisz? – zapytałem, a on zdumiony wskazał na sznur pod kanapą.

*Idzie po worek, ponownie przesypuje do niego jabłko.*

Strzelbę do polowania mam właśnie w kufrze. Nie uważam, żebyś musiał ją mieć przy łóżku, jak sugerował.

„Źle masz w głowie, synu, źle masz w głowie...”.

On uważa mnie za zwariowanego. Dlatego mnie lubi, bo mówi, że jego syn był taki.

*Patrzy na rewolwer na stole.*

Mówiłem ci, Balducci, zabieraj to! Wszystko to mnie brzydzi, a ten facet najbardziej.

Stary żandarm stał przede mną i patrzył na mnie surowo. Człowiek nie przyzwyczaja się do tego, aby prowadzić ludzi na sznurze, tylko że im nie można było pozwolić na wszystko. Kazał powtórzyć mi to, co powiedziałem.

Nie wydam go!

Ale żandarmowi kazano odstawić więźnia. Otworzyłem więc szufladę, wyjąłem pióro i podpisałem. Nie pozwolił się odprowadzić, ponieważ uznał, że go obraziłem.

*Odkłada worek pod ścianę. Wsunął rewolwer, który leżał na stole, do kieszeni i kładzie się na łóżku.*

Długo tak leżałem, słuchając ciszy. On został w klasie. Ta cisza wydawała mi się przykra w pierwszych dniach po przyjeździe tutaj. Z początku ona i samotność przeszkadzały mi. Tak, kamień pokrywa trzy czwarte tego kraju. Miasta rodzą się tu, rozbłyskują, potem znikają. Ludzie przechodzą przez nie, kochają się albo skaczą sobie do gardel. Potem umierają. Na tej pustyni każdy, i ja, i mój gość, jest niczym.

*Gaśnie żarówka.*

Co znowu?

*Sięga po świeczkę do kufra. Zapala ją.*

Kiedy wstałem, żaden odgłos nie dochodził z klasy. Byłem zaskoczony radością, którą poczułem na samą myśl o tym, że ten człowiek mógł uciec. Ale więzień był w klasie. Wyciągnął się tylko na podłodze, przy piecu.

*W półmroku podchodzi do podwójnych drzwi w głębi sceny.*

Ma otwarte oczy i patrzy w sufit. Tak myślałem – jest głodny. Bierze jedzenie, którym go poczęstowałem, podnosi szybko do ust i zatrzymuje się.

(„Dialog”).

„A ty? Zjedz ty najpierw. To ty jesteś sędzią?”.

Nie, tylko zostajesz u mnie do jutra.

„A czemu ze mną jesz?”.

Jestem głodny.

Przyniosłem mu z przybudówki łóżko polowe. Potem nie miałem już nic do roboty, więc patrzyłem na niego, starając się wyobrazić sobie jego twarz w przyływie szaleństwa. Ale nie potrafiłem. Widziałem tylko ciemne i błyszczące oczy. Zapytałem: Dlaczego go zabiłeś? A on wyjaśnił, że ktoś uciekł, więc za nim pobiegł... Pytał, co z nim robią. Bał się. Myślał, że mogę go zabić. Nie chciał się położyć, chociaż niecierpliwie wskazałem mu łóżko. Pytał tylko, czy żandarm jutro wróci i czy pójdę z nimi.

Nie wiem, nie wiem.

*Prąd wraca. Gasi świeczkę.*

W końcu wyciągnął się na kocach. Nogami do okna. Patrzył w światło, próbując nie mrugać oczami. Chciał, żebyśmy poszedł z nimi.

„Chodź z nami”.

W połowie nocy ciągle jeszcze nie spałem. Położyłem się do łóżka

zupelnie rozebrany, bo zazwyczaj śpię nago. Ale kiedy wszedłem bez ubrania do pokoju, zawahałem się. Przez chwilę chciałem się ubrać, potem wzruszyłem ramionami. Nie z takimi już miałem do czynienia, i z nim dam sobie radę.

*Wyciąga pistolet z kieszeni, przekłada go z ręki do ręki.*

Ze swojego łóżka mogłem go obserwować. Leżał na plecach nieruchomy, ostre światło raziło go w oczy. On ciągle leżał bez ruchu, ale zdawało mi się, że ma otwarte, już martwe oczy. W nocy wiatr się wzmocnił. Więzień odwrócił się do mnie plecami i wydawało mi się, że słyszę jego jęk. Nie nachyliłem się nad nim, ale śledziłem jego oddech. Jeszcze wiele razy będę słuchał tego oddechu, jego dźwięku dochodzącego z tak bliska. Będę rozmyślał, nie mogąc usnąć. W tym pokoju, gdzie od roku śpię sam, jego obecność mnie kępowała.

Dlaczego narzuciłeś mi to braterstwo? Potem, kiedy się poruszyłeś, ciągle nie spałem. Przy twoim drugim poruszeniu znieruchomiałem. Widziałem, jak unosisz się na rękach, nie odwracając głowy w moją stronę, jak gdybyś nasłuchiwał z największą uwagą. Nie ruszałem się. Pomyślałem, że rewolwer został w szufladzie biurka. Należało działać szybko. Spuściłeś nogi na ziemię, czekałeś jeszcze, potem wyprostowałeś się powoli. Zacząłeś iść w stronę przybudówki. Cicho, ostrożnie. Zostawiłeś za sobą otwarte drzwi.

Ucieka – pomyślałem. Pozbyłem się kłopotu.

Uciekaj!

Usłyszałem wodę i zrozumiałem, co to znaczy, kiedy znowu stanął w drzwiach. Zamknął je starannie i położył się.

*Wstaje, otwiera kufer, wrzuca do niego pistolet.*

Śnię, śnię. I on też spał.

*Ściąga kolejny worek z tablicy, przedostatni. Ponownie przesypuje owoce. Przewieszony na tablicy ostatni worek odstąpił rzęki namalowane kredą po jej bokach.*

Niebo jest od rana bezchmurne. Nawet teraz. A on tak spał, z otwartymi ustami, zupełnie bezbronny. I te jego obłąkane oczy, kiedy nim potrząsałem – to ja, trzeba coś zjeść, kawa gotowa. Pokazałem mu, gdzie może się umyć, i zwróciłem uwagę, że gdzieś tam śnieg stopniał na ścieżce. Kaszlnął. Zwyczajnie, jak żywy człowiek. Głupia zbrodnia tego człowieka upokarza mnie, ale wydać go... Po co mi go tutaj przesłali? Żeby patrzył, jak nad cementową podłogą myje sobie zęby dwoma palcami?! IDŹ! – krzyczałem do niego, ale nie ruszył się. IDŹ, NIE ROZUMIESZ, CO MÓWIĘ?! WYŁAŻ JUŻ! Też idę...

Skierowaliśmy się na wschód, spokojnie szedł za mną. Niedaleko od szkoły wydawało mi się, że słyszę za sobą jakiś hałas. Musieliśmy zawrócić, obszedłem dom, ale nie było nikogo. Patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

*Zdenerwowany, próbując sobie dokładnie przypomnieć wydarzenia.*

Potem szliśmy godzinę, potem odpoczęliśmy... Śnieg topniał coraz bardziej, słońce osuszało kałuże. Kiedy ruszyliśmy znowu, pierwszy raz od tak dawna usłyszałem, jak ziemia dźwięczała pod moimi stopami. Od czasu do czasu widziałem ptaki. I to świeże światło.

*Poddaje się przyjemnemu wspomnieniu.*

Wielką, znajomą przestrzeń, teraz zupełnie żółtą od słońca. Wtedy doszliśmy do wzgórza ze skał. Kilka nędznych drzew, tylko niebo, ani śladu człowieka. I wtedy to się stało. Odwróciłem się do niego – patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

*Spogląda w stronę pistoletu.*

Mówię mu: Weź, to chleb i cukier. Wystarczy ci na dwa dni. Masz jeszcze trochę pieniędzy. Pokazałem mu, jak dalej idzie droga.

Masz stąd tylko dwie godziny marszu. Czekają na ciebie.

Wziął paczkę i pieniądze, ale trzymał ręce na wysokości piersi, jakby nie wiedział, co ma robić z tym, co dostał. Nie ruszał się. Patrzył. Ścisnął coraz mocniej paczkę i pieniądze. Mówię mu: W ciągu jednego dnia dojdiesz do pierwszej osady. Przyjmą cię i schronią zgodnie z ich obyczajem, obiecuję.

Zobaczyłem ogromny popłoch na jego twarzy.

„Posłuchaj”, „posłuchaj” – coś zaczął do mnie mówić, coś próbował...

Nie! Milcz!

### 3.

Odwróciłem się plecami, zaraz potem ruszyłem w kierunku szkoły.  
*Sięga po sznur spod łóżka.*

Przez kilka minut słyszałem tylko własne kroki na zimnej ziemi i nie odwracałem głowy. Nie odwracaj głowy, nie odwracaj głowy! Ale jednak odwróciłem się.

*Ścisła sznur, przeplata go przez palce. Podchodzi do worka, który przed chwilą napełniał, i wiąże go sznurem.*

Był tam, na skraju wzgórza, z dziwnie zwisającymi teraz rękami, i miałem wrażenie, że patrzy na mnie. Poczulem skurcz w gardle, zakląłem i odszedłem.

*Odkłada worek pod ścianę, w przerażeniu podchodzi do tablicy, kuca.*

Ja! Ja! Byłem już daleko, kiedy zatrzymałem się znowu i spojrzałem. Słońce było wysoko na niebie i zaczynało mnie palić w czoło. Co mam powiedzieć?! Tak, zawracam, jestem niepewny, ale zdecydowany, cały ociekam potem! Wspinam się z największym pośpiechem i ja także zostaję bez tchu na szczycie.

*Dłuższa cisza.*

I w lekkiej mgłę widzę go, jak idzie. Wolno. Drogą wiodącą do więzienia.

*Patrzy za okno, na niebo, na szerokie, niewidoczne ziemie. Ściągając ostatni worek z czarnej tablicy, odłania nryty na niej nienprawną ręką – pomiędzy rzekami namalowanymi kredą – napis: „WYDAŁEŚ NASZEGO BRATA. ZAPŁACISZ ZA TO”.*

**Koniec.**

Mateusz Kaliński

## Autobus

Czekam na autobus.  
Nienocny ostatni,  
choć w nocy  
jak zawsze.  
Idą, idą –  
razem w sile  
upojeni.  
Idą, idą –  
po obu stronach chodnika.  
Idą, idą –  
jak dobrze, że nie widzą.  
Autobus przyjeżdża.  
Mało ludzi,  
nie muszę patrzeć,  
w okno mogę.  
Nie zmienia się noc.  
Parki, domy, drzewa,  
ulice, kosze na śmieci  
te same.  
Te same siedzenia,  
Te same gwiazdy.  
I ja.  
Nieuchwytny, acz schwytny.  
Wtedy myślę, czy  
byłem blisko?  
Patrzy na mnie,  
piersiami, ustami, biodrami,  
dopiero oczami.  
Patrzy.  
Myślę, weź te  
niepocalunki,  
niegry  
wstępne i odstępane

rytuały przeobrażeń,  
nieuniesienia  
i niewestchnienia.  
Weź je.  
Weź i wypchaj się nimi.

## Lipa

Ścieli  
mu lipę, ścieli.  
Został tylko pniak  
i kilka drzazg.  
Czy oni  
pomyśleli, nie pomyśleli.  
Wszak to tylko drzewo.  
Są i będą  
inne.  
Większe, mniejsze.  
Budzi  
w nim trwozę, budzi.  
Ten widok  
nowy i pusty.  
Wszak wszystko dla ludzi,  
dla ludzi.  
Co tam lipa.  
– powiedzieli, nie powiedzieli.

Wamzeh

## Inaczej

zanurzam usta na ułamek oddechu  
na brzegu jeziora twojego spokoju  
chcę ufać ale boję się utonąć  
bo głęboko jest tutaj przy tobie

przybliżam siebie na odległość myśli  
do krawędzi twojej obecności  
chcę zostać ale boję się upaść  
bo wysoko jest tutaj przy tobie

pamiętam swoje dłonie kilka blizn temu  
pełne dotyku i bez lęku przed stratą  
teraz chcę pokazać je światu  
ale boję się tych samych skaleczeń

ale boję się trochę mniej  
bo inaczej jest tutaj przy tobie



# Zerwanie

znalazłem drzewo samotne i zmęczone  
przyjemnie wysokie i dające schronienie  
broniło mnie przed większością pożarów  
a ja podlewałem je własnym milczeniem

aż w końcu zerwałem z ciebie owoc  
i poczułem smak rozgoryczenia  
każda gałązka obrosła w wątpliwość  
a korona z bliskości nie rzuciła już cienia

wtedy drzewo zmarniało

wracam teraz do naszych obietnic  
i zastaję korę poczerniałą  
spróchniałe wnętrza mamy bez siebie  
zobacz co z nas pozostało

przez moment chciałem nas ratować  
pozbyć się klótni splątanych korzeni  
ale obawiam się twoich wymagań  
i tego że już się nie zmienisz

# Kwiat pokrzywy

sucha dłoń pokryta nerwami  
rośnie na straży swojej samotności  
chroni kwiat przed haptycznym koszmarem  
broni się jadem i bólem zielonym

ukryte serce obrośnięte lodygą  
dostarcza truciznę do swojej bliskości  
odżywia kwiat egoistycznym sokiem  
pobudza dumę do wzrostu nad innymi

czysta dusza na samym szczycie  
jest dla ciebie symbolem jej wartości  
a kwitnie kolorem raniącym twoje oczy  
bo boi się dotyku i wyrwania z życia

# Proces produkcji pierników

Proces produkcji pierników nie jest trudnym przedsięwzięciem. Do rondelka wrzucam masło, miód oraz cukier. Podgrzewam, cały czas mieszając, aż wszystko połączy się bez grudek. Gdy kalorycznie zabójcza masa przestygnie, dodaję opakowanie korzennych przypraw, kontenery mąki, inne dziwne rzeczy, a na końcu śladowe ilości magii świąt, miłości oraz orzeszków arachidowych.

Najgorszym momentem jest mieszanie ciasta, które przy każdej kolejnej cysternie mąki gęstnieje. Nie jest jeszcze na tyle zbite, żeby ugniatać je dłońmi, ale nie jest też za rzadkie, żeby swobodnie mieszać je łyżką.

Najlepszym momentem, oczywiście, jest jedzenie gotowych pierników. Przez kilka pierwszych dni można sobie na nich połać zęby i stracić nadzieję w ludzkość, ale potem stają się mięciutki i przynoszą szczęście, ponieważ w tym celu zostały stworzone.

Cała rodzina miała uczestniczyć w procesie tworzenia świątecznych słodkości, ale pokłócili się gdzieś pomiędzy ubieraniem choinki a gotowaniem bigosu. Teraz rozeszli się na dobre, matka na górze słucha swojej odwiecznej dołującej playlisty, a ojciec w garażu dłubie przy aucie, tak jakby miał znaleźć w nim odpowiedź na pytanie, co dalej z tymi świętami.

Babcia opuściła nas na dobre. Nie, nie umarła. Jeszcze. Weszła dziś rano do mojego pokoju, obudziła mnie, a moje zaspane uszy usłyszały coś o wesołym rodzinnym czasie, a moje zaspane usta wybelkotwały coś na kształt „mhm”, a mój zaspany umysł próbował ignorować to, że chyba płakała. Po pełnym przebudzeniu zrozumiałem, że wyjechała do tej drugiej rodziny, gdzie uśmiechy nigdy nie spelzają z twarzy, uszka są organiczne i bez glutenu, a stoliczek nakrywa się sam i z pocałowaniem rączek wkłada pod obrus kępkę sianka.

Na szczęście jest ze mną przyjaciółka. Przyjechała w ostatniej chwili, bo byłem już gotowy rzucić to wszystko i pójść w ślady domowników, zamykając się w swoim świecie i odwracając się dołem pleców na najbliższe świąteczne dni. No właśnie. Tak

naprawdę nie wiem, dlaczego mi tak na tym zależy. Nigdy nie byłem ślepym fanem polskiej tradycji, a tym bardziej świąt, w które i tak nikt w tym domu nie wierzy. Nigdy nie byłem też fanem tego domu.

Myślę sobie jednak, że to tylko pierniczki. Tak czy siak skończą zjedzone, niezależnie od okazji czy naszych nastrojów. A to, że robię je z przyjaciółką nie jest bez znaczenia. Ile my się znamy? To będzie już piętnaście lat. Powiedziałbym, że jest dla mnie jak siostra, ale szczerze mówiąc, pokrewieństwo i więzy krwi nigdy nie robiły na mnie wrażenia. Wygląda na to, że ten moment, w którym ona przepuszcza silosy mąki przez sitko, a ja mieszam to wszystko zawzięcie, będzie jedyną ciepłą i rodzinną chwilą w najbliższej przyszłości.

Nagle dzwoni telefon i już jej nie ma. Jest potrzebna u siebie w domu, co rozumiem, bo jej mama już nie ma z kim się kłócić, ale razem ze swoimi trzema córkami jakoś dają radę. Ale co ja tam wiem o innych rodzinach.

Zostałem sam. Miska z niejednorodną brązową masą patrzy na mnie smutnymi ciapkami z mąki, której niedostrzegalne drobinki dostają się do moich oczu i powodują łzawienie, natychmiastowo i zupełnie niepotrzebnie. I co teraz?

Nie ma znaczenia fakt, że wystarczy już tylko zagnieść ciasto, rozwalkować, wyciąć wzory i piec przez piętnaście minut. Nie ma znaczenia to, że doskonale sobie poradzę bez niczyjej pomocy. Z jakiegoś powodu wciąż trwam w przekonaniu, że takie rzeczy powinno się robić razem, zamiast po prostu zaakceptować fakt, że tak już z nami jest.

Hm.

Proces produkcji takiego stanu rzeczy nie jest trudnym przedsięwzięciem. Do rondelka wrzucam nierozumiane emocje, nierozwiniętą umiejętność komunikacji oraz ponad dwie dekady unikania szczerych rozmów. Podgrzewam, cały czas mieszając, aż wszystko połączy się bez grudek. Gdy społecznie zabójcza masa przestygnie, dodaję opakowanie egoizmu i ignorancji, kontenery urazy, inne dziwne rzeczy, a na końcu śladowe ilości poczucia samotności, obojętności oraz strachu przed działaniem, żeby cokolwiek zmienić.

Jest godzina druga w nocy. Muzyka z sypialni, gdzie zabarykadowała się moja matka, jakiś czas temu ucichła, ojciec niedawno wypelzł z garażu i położył się w salonie, okrywając się jedynie kocem. Z piekarnika ulatuje ciepło poprzednich partii pierni-

ków, a wokół tych już wypieczonych unosi się zapach cynamonu, goździków, zadowolenia, ale też zawodu.

Wybieram ciasteczko, które już zdążyło wystygnąć. Gryzę. I nie mogę przegryźć.

Myślę sobie, że może nie mam na to wszystko wpływu. Może nie ma co, trzymać się nadziei, że któreś z przyszłych rodzinnych okazji stworzy zadowalającą atmosferę. Może czasami na początku musi być ciężko, może najpierw musimy sobie połamać zęby i stracić wiarę w ludzkość, żeby potem było trochę lżej i żeby życie przyniosło szczęście, ponieważ w tym celu zostało stworzone.

Może w końcu przyszedł czas, żeby się wyprowadzić? Może wysłać ich na terapię? Może zaprosić egzorcystę, żeby wygnał to dziwne cokolwiek, co powoduje całe zamieszanie?

Odkładam twardy jak skała piernik na bok i siadam do ostatniej już polaci rozwałkowanego, ale niewykrojonego ciasta.

Nie wiem, co powinienem zrobić, ale myślę, że mam wpływ na kształt tego, co czeka przede mną.

Nie po to kupiłem tyle foremek.

Mateusz Malinowski

## Hekatomba

Rozdarta pierś męska,  
Wypięta w stronę kobiety,  
Oznaczać chce więcej niż wiara  
Tejże kobiety potrafi przyjąć.  
Minęła północ (...)

Minęły lata.

## Pożegnanie

Żegnaj Matko

(Ponoć człowiek to wywyższenie)

Matka wypatruje syna,  
Nie wierzy, że jego kości  
Z jej brzucha wyrosły,  
I piętrzy się góra jej smutku,  
Gdyż na dnie butelki także go nie ma —

Ścieka po rżesie do nieba.

## Dla dorosłych

Panowie muzykanci  
Niech grać nie przestają  
Kieliszki owszem – puste  
Słysząc: „Grać! Bo usnę!”  
Damy czerwonouste  
I ich piersi ściśnięte  
Zaprzagnąłem zgrzeszyć  
Dotknąć to co święte  
Jeśli żadna nie wyskoczy  
Nie ukaże mi się w pełni –  
Kształtna i ciepła  
Jak słońce o poranku  
Co wypływa z nocy tak,  
Że zarumienił się sam pan Bóg –  
Wezmę sprawy w swoje ręce!  
Zmówię paciorek więcej  
Proszę Cię panie! Niech  
Nóżka takiej się wymsknie  
Niech pomyli jej się taniec!  
Niech się potknie, ja podlecę  
(Ty użyczysz mi skrzydeł parę)  
W ostatniej chwili złapię  
A to co wyjdzie na wierzch  
(Dwa boże słońca, piękne!)  
Uznam za karmę –  
Daliśmy naprawdę dobry koncert.

Alicja Sukiennik

## Portret pokolenia

Mam dwadzieścia jeden lat,  
I niczego ważnego do powiedzenia  
mogę conajwyżej zacytować Szymborską czy Herberta

Po czterdziestu dwóch wizytach u babci  
Cały majątek przepiłam studiując,  
część poszła też z dymem (wszelakim)

## Silna i niezależna

Lepiej znajdę więcej wina,  
nim wytrzeźwieję doszczętnie.

Między półsłodkim a półwytrawnym  
Biało-czerwony belt- wbity prosto w pierś.  
I wyzbędę się zbędnych emocji,  
Rzucę się na kogoś,  
Ognistym pocałunkiem albo zagryzę na śmierć.  
Wszystko jedno.

A jutro tylko migrena,  
Doprawiona wyrzutami sumienia.



# Walentynki

Dziwne bicie serca za każdym rogiem,  
spojrzenia – że niby ukradkowe,  
że niby wzrok zmysłowy,  
że galop myśli – bezmózgowie,  
że zupełna pustka w głowie.

Że jakaś tam miłość, czy tam walentynki,  
sam się człowiek z siebie śmieje.  
Jakby jakieś Culleny, albo inne Greye.  
a jednak, szuka ukradkiem szminki...

# Dla Brunona Jasieńskiego

Jestem młody, lecz nie genialny,  
nienatchniony, niepoeta.  
Nie krzyczę o śmierci Największych,  
nie gwałcę zasad, unikam zapożyczeń  
(oprócz branding, networking, marketingu).  
Nie przeczę dekadentom, futurystom, komunistom,  
nie walczę o prawa proletariatu, nie strzelam na wojnach.  
Nie konspiruję.

W butach zachowawczo wypastowanych,  
z butonierką pustą w marynarce,  
grzecznie zapieprzam do korporacji.

# Los Poety

Wyrosłam już z tych mrzonek,  
jutro trzeba wstać,  
odprowadzić dzieci do szkoły.

Ależ proszę Pana , proszę sobie ze mnie nie drwić,  
poezje jakieś, jakieś nocne refleksje,  
jakieś jednostki lepsze, nadal głodne,  
jakieś myśli ukradkowe, że też bym chciała,  
jakaś hipokryzja, że tutaj jedno, a gdzieś tam , na boku drugie.

Jakaś pani poetka z Panem pisarzem,  
składają raporty w open space.  
A wieczorem przed telewizorem coś wyskrobia.  
I wpisują w CV: „Hobby: Poezja.”

Łukasz Szmaja

# Śmiech jest zawsze na końcu

po modelowych koszmarach zdrowej i statystycznej rodziny  
krwawa gra szczątków na wykładzinie pokoju  
w deseni miasta

po innowacjach wprowadzanych do tkanek  
przez zamorski Program Rozumu  
wymierających tysiącami bezdziejnych prób  
mantrą przypadku

po bogu wymyślającym genetyczne zestawy psycholi  
naćpanym ostateczną wersją prochów  
tożsamą chemicznie z filmem na faktach

po karaluchu idącym na śpiącej twarzy cywilizacji  
dwumetrowych istot twierdzących o Prawach  
w epoce całodobowego światła

po procesie narodzin martwego płodu zapisanego według cyfr  
w elektrycznym mózgu komputera-matki  
niszczącej niebieskim ogniem ścieżki oświecenia

po całkowitej utracie kontroli  
wewnątrz szoku wygenerowanego przez maszynę nicości  
w najmniejszej cząsteczce czasu  
przed odłączeniem wszystkich kabli

Łukasz Szmaja

# Imperium

W porwanych butach  
przeszedłem papierową linię na mapie  
wmyślając się do chemicznego państwa  
którego anatomia polega na  
prześladowaniu kuglarzy  
za pomocą:  
niezniszczalnej broni ignorancji  
uniwersalnej wizji masowego rażenia  
teorii adaptacji zgodnej z wytworzoną  
fabrycznie praktyką

jestem w Imperium strzykawek i kabli  
niewzruszonych i pozbawionych znaczenia liczb  
praw z nietopliwego metalu  
ukończonego dekalogu pierwiastków

przy matematycznym zapisie hymnu  
liter gestów wszczepiane  
do kodów osobowości  
zgubionych w psychicznych terapiach  
ukryte mikrofilmy  
w zamontowanych słowach  
w ustach zeszywniałych  
w palcach zrastających się w dłonie  
w dławiającym aromacie logiki  
w silikonowym implancie gnozy

przechodzące w materię  
brzmienie eksperymentalnej muzyki  
śladów powleczonych fluorescencyjnym  
preparatem jałowiącym  
dotyk zindyfikowany na strunach

Wyznawcy drakońskiej wiary bez symbolu  
szydzą w świątyniach z blachy i fosforu  
i narkotyk hostii  
placebo zmysłów włożone na język  
wypowiadając hasło z ogrodzenia

specjalistyczna degeneracja buntów  
w imię uszkodzonej ewolucji  
eksterminacja pojęć i  
WIELKA ZIELONA CZASZKA

w styropianowym podręczniku historii  
martwicza chronologia plastiku  
bez skomplikowanych ludzi  
reakcje na przemieszczenia atomów  
w niezmywalnej cyfrowej tkance patosu

odium na anachronicznych stylach  
realizowania się niespodziewanych  
krzyżówek hormonalnych

Malwina Tkacz

## Na szczęście

pisanie wierszy nie wymaga posiadania pełnego wyposażenia  
legitymacji służbowej  
wujka w komisji  
łapówki w dolarach  
nadopiekuńczej matki co tak się starała  
modnej sukienki z koronki czerwonej  
jakiegoś przystojnego męża ładnej żony  
doktoratu na US-u albo na UJocie  
biżuterii – zegarków w srebrze albo złocie  
nawet nie trzeba być przystępnym  
miłym – poprawnym politycznie żeby pisać wiersze

na szczęście



nie potrafię już czekać – śmiesznie pod klonami  
czasami się odwracam – czy to ty spojrzalesz  
ukradkiem – czy to było spojrzenie ostatnie

nie potrafię już szukać w ukwieconych sadach  
ani na łąkach – roztargniona błada  
smutnie zwieszając głowę – wiem że nie odpowiesz



Jakub Wiech

## Boże jakie to szczęście

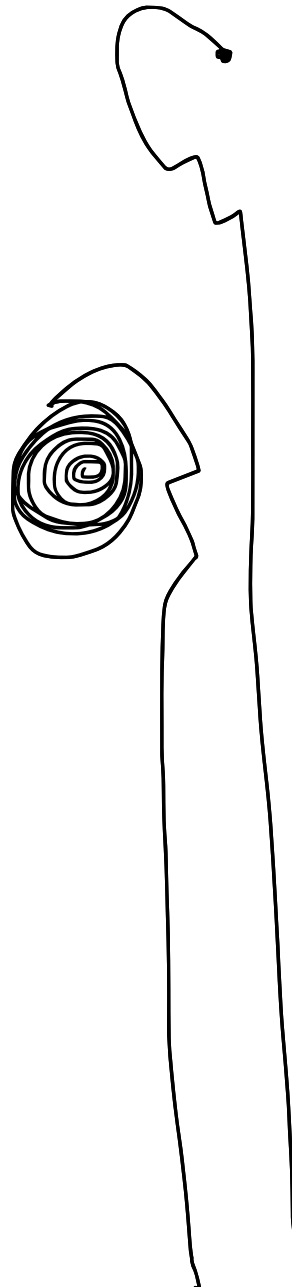
Boże, jakie to szczęście,  
Że dałeś mi urodzić się  
Polakiem.  
Mogłem doświadczyć i pojąć to,  
Co inni znają tylko z zamorskich książek  
I czarno-białych filmów  
Z niebiesko-czerwonymi fabułami.  
Nie muszę się wstydzić prawdy  
I pluć słowami, by zakryć czarną,  
Żelazną czcionkę powitalnych napisów.  
Znam wszystkie przekłady słowa „zdrada”  
I wiem, że nie odmienia się go przez przypadki.  
Umiem wyobrazić sobie brzydotę stokrotki,  
Ciemność światła i słodycz popiołów.  
I piętnastoletnich dorosłych.  
A przed świtem mogę krzyknąć do woli,  
Nie bojąc się zaniepokojenia obudzonych  
Przyjaciół.

## Mikołaj Kopernik

Sam zerwałem łańcuchy  
Wiążące mnie w jaskini,  
I ciał świetlistych ruchy  
Liczyłem quia gloria Domini  
A wyście związali swe uszy  
Językiem starców tłumu,  
Który słów nie ma, co duszę  
Odróżnią od rozumu,  
W tej gramatyce strachu  
Zamknięci przed księgami  
Wpychacie perły do piachu  
Myląc Boga z planetami,  
Fakty bujdami nazwiecie,  
Dla prawdy skąpiąc chęci  
Lecz kiedyś sami powiecie:  
*„A jednak się kręci!”*

## Błędne koło

Kiedy się mierzę miarą olbrzymów,  
To tylko gorycz krzyczy mi w duszy,  
Za tępe pointy, za pieśni bez rymów,  
I za ten dramat, co nie poruszy;  
Kiedy się mierzę miarą gigantów,  
Rozmach tej skali zaciska mi szczęki,  
Bo oto stoję wśród Bachów i Kantów  
Nieznany, szary, maleńki;  
Kiedy się mierzę miarą tytanów,  
Do siebie czuję wzgardę jedynie  
I jak bezbożny w rękach kapłanów  
Czekam aż wstydu mnie kokon owinie  
Kiedy się mierzę miarą herosów  
Zapominając o żalu, co mrowi,  
Nie bacząc na tłum pokornych głosów  
Znów skaczę wyrwać świat Atlasowi



Milena Zaremba

## Smutna Warszawa

Warszawa jest smutna bez Ciebie. Tynkowana szarością, oddycha spalinami. Tłoczy się metrem, potykając o krzyżące ulotki z wyciągniętej bez słowa ręki. I gna, nie mając czasu w dobie, która okazała się zbyt krótka.

Mnie czas się dłuży. Stoję. Pospiesza mnie deszcz, który tu też szybciej stuka w parasol. I tylko serce bije wolniej, jak gdyby nie uznawało rozkładu jazdy, świateł i ośmiogodzinnych zmian. Wciąż zielone i pachnące ziemią. Rozmarzone i naiwne, moje. Z kluczem do drzwi i życiem spisanim w certyfikatach, spoglądam tęsknie w pochmurne niebo.

Warszawa jest smutna bez Ciebie.

## Nieśmiertelna

Jak powiesz nocy, że  
niepotrzebnie  
mrugała miliardem oczu,  
zawstydzona, że nas widzi?  
Że Droga Mleczna to ślepy zaułek  
Że nasze ciała nie są niebieskie...

Czemu rzucasz w kął wspomnienia  
Czyhają tam na mnie  
Atakują

Słyszysz?  
Mam w piersi zegar

# Zatrzymaj mnie

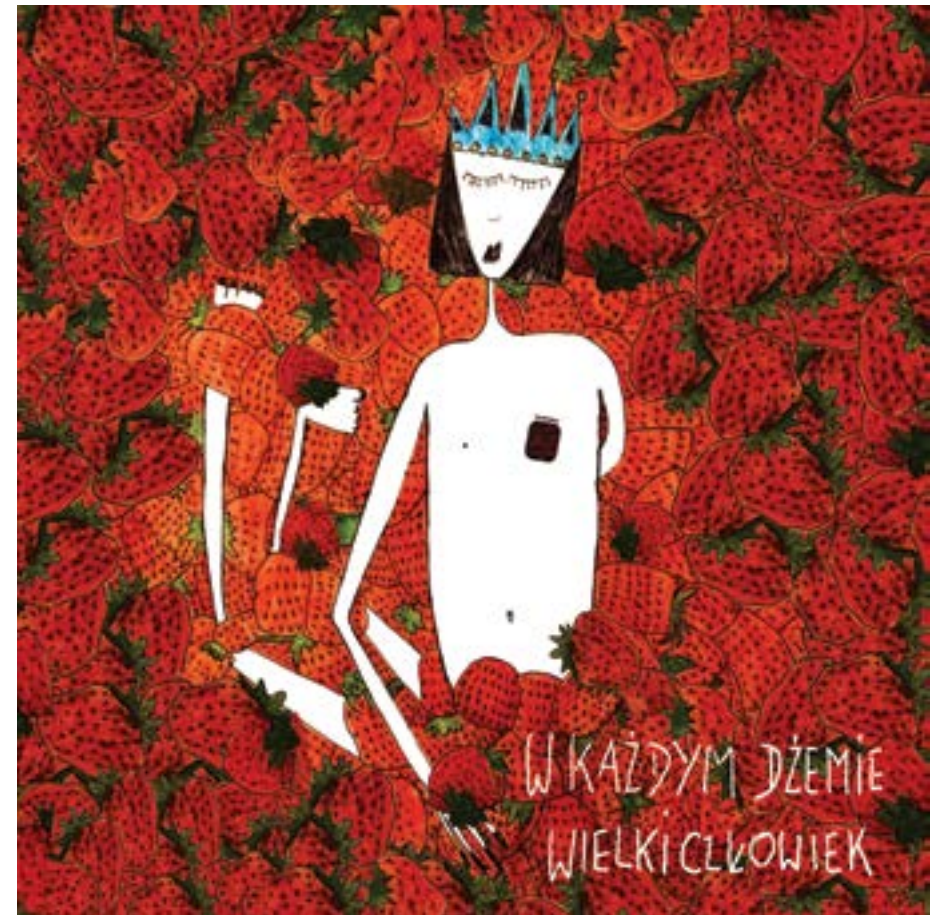
Zatrzymaj mnie  
jak oddech  
gdy słońce budzi się o świcie  
gdy serce bije tak szybko  
jakby nie obowiązywało go  
że po piąte: nie zabijaj

Zabij mocno  
By i mnie tchu zabrakło  
By zatrzymał się czas  
Zatrzymała kręcąca się Ziemia  
obracająca się w towarzystwie gwiazd  
Niech stanie  
I niech się stanie

Zatrzymaj mnie  
Za serce  
Za rękę  
Byle nie  
za późno  
za krótko  
Nim będę już tylko wspomnieniem  
Zatrzymaj

Dariuszka

# Puszczzone Myśli





Mariusz Gostawski

# Kwitnąca Wiśnia









Ula Janoszuk

Pop



Ula Janoszuk

A L L  
Y O U  
N E E D  
!

Pop



I SEE...



TRY yourself

STRONG work

PERFECT FLYING EXPERIMENT

WAVING very important

LOOK know argue

Invent PRECIOUS Life

INSUMNIA

HIGHEST MOUNT

HEAR

COMPANY

NERVOUS REALITY

Best

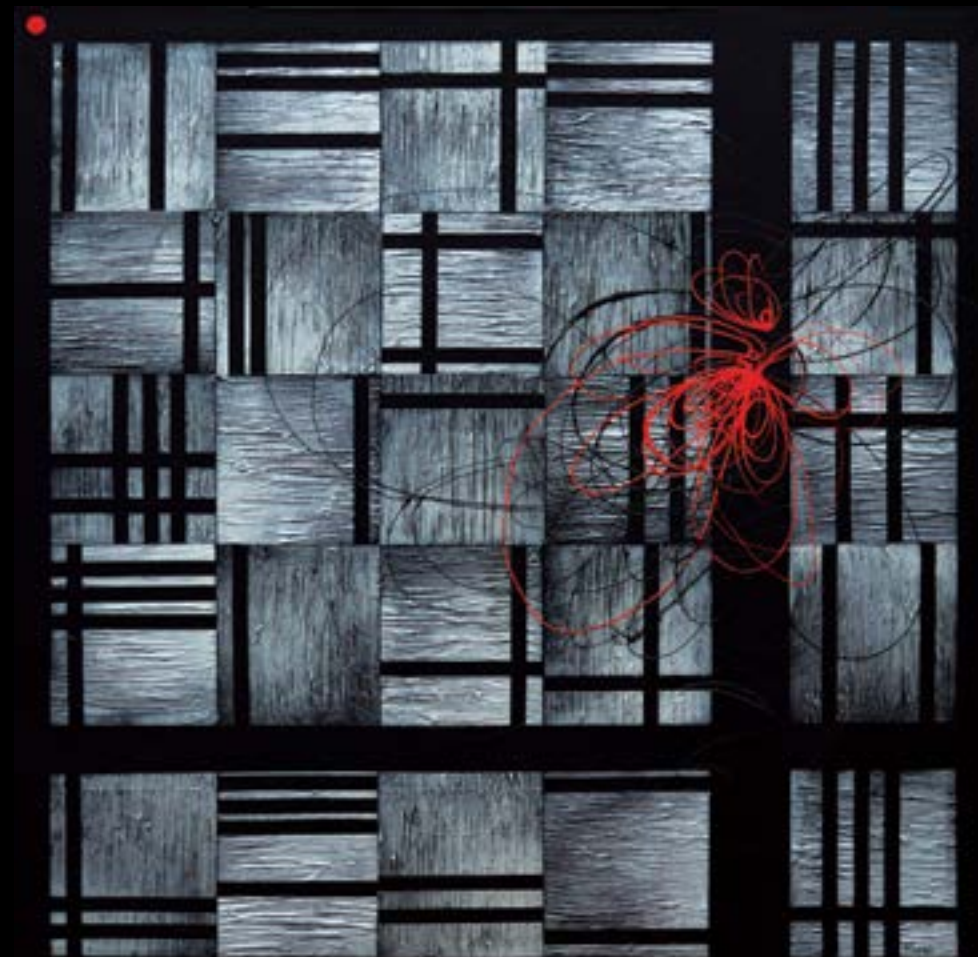
Piotr Olszak

# Stan umysłu

W związku z błędami zaistniałymi w poprzednim numerze „Jednorożca” drukujemy we właściwej formie, rozdzielczości oraz formacie prace pana Piotra Olszaka.

Za wprowadzenie Czytelników w błąd serdecznie przepraszamy.





# Zarząd Samorządu Studentów UW

## Wieści od ZSSUW

Po feriach Zarząd Samorządu Studentów UW wrócił z nową energią do pracy. 18 lutego, czyli pierwszego dnia nowego semestru, rozpoczęła się akcja Welcome Week – Witamy po feriach, w ramach której studenci otrzymywali pakiety startowe. Rozdawanie ZSS-owych gadżetów odbyło się także na Kampusie Szturmowa (22 lutego) i Kampusie Ochota (25 lutego).

Zarząd zorganizował też cykl spotkań poruszających tematykę biznesową. W lutym o praktycznej stronie społecznej odpowiedzialności biznesu opowiedziały Agnieszka Palka i Marcelina Cieślak z Fundacji EY, natomiast w marcu rozpoczęła się seria szkoleń „Wiosenna Akademia Biznesu”, przeprowadzanych przez Akademickie Inkubatory Przedsiębiorczości. W ramach współpracy z AIP na warsztatach podjęto tematykę tworzenia start-upów, docierania do klientów poprzez social media, a także sztukę negocjacji z klientami.

Zadbano także o rozrywki kulturalne i sportowe. Odbyła się II edycja siatkarskiego turnieju UVVolley, a przed nami kwietniowa, piąta odsłona rozgrywek futsalowych UW Cup. Zorganizowano dwa pokazy w ramach National Theatre Live wraz z UW, gdzie wyświetlono dwie sztuki – „Każdy” i „Jak Wam się podoba”. Komisja mobilności zainaugurowała projekt „mUWies night” – w ramach pierwszego spotkania zaprezentowano studentom film „Dziewczyna z szafy” połączone z dyskusją z reżyserem, Bodo Koxem.

Najbliższe miesiące będą upływać studentom pod znakiem jUWenaliów! Zapraszamy 6 i 7 maja na pierwsza dwa dni juwenaliów na Kampusie Głównym oraz 21 maja na trzeci dzień na Agrykoli. Kto wystąpi? Sprawdźcie to na naszym fanpage’u!

